

Królowa powietrza i mroku

Anderson Poul



calibre 0.9.27

Królowa powietrza i mroku

(przełożył Darosław J. Toruń)

Ostatnia poświata ostatniego zachodu słońca utrzyma się niemal do połowy zimy. Jednak dnia już nie będzie i radość ogarnęła łądy północy. Otworzyły się kielichy kwiatów; barwna jaskrawość na gałęziach cierniowca płomiennego; błękit stalowców, wyrosły z płaszcza broku i deszczorostów kryjącego wzgórze; w dolinach nieśmiała biel niepocałujek. Pomiędzy nimi, na mieniących się kolorami skrzydłach, śmigały trzepotki; jelen królewski potrząsnął rogami i zaryczał.

Niebo między horyzontami pociemniało od purpury do czerni. Księżycy stały już wysoko, oba niemal w pełni, mrozem połyskując na liściach i blaskiem rozplywając się po wodach. Zrodzone dzięki nim cienie rozmazywały się w świetle zorzy - wielkiej kurtyny jasności, obejmującej połowę niebios.

Na Kurhanie Wolunda, tuż pod wieńczącym go dolmenem, siedzieli chłopiec i dziewczyna.

Ich włosy, spływające do połowy pleców, wyblakłe od letniego słońca, jaśniały uderzająco wyraźnymi plamami. Ich ubrane tylko w girlandy ciała, ciągle jeszcze brązowe po lecie, zlewały się z ziemią, krzewami i skałami. On grał na kościanej fujarce, ona śpiewała. Niedawno zostali kochankami. Mieli po jakieś szesnaście lat, ale o tym nie wiedzieli. Uważali się za Zewnętrznych, a więc obojętnych na upływ czasu. Z tego, jak żyli kiedyś w krainach ludzi, nie pamiętali nic albo niewiele.

Nuty z jego fujarki oplatały się wokół jej głosu:

Uwij czar,

Zamknij w nim

Rosę i pył,

Noc i siebie.

Strumyk obok kurhanu, niosący księżycowy blask ku ukrytej wśród wzgórz rzece, odpowiadał im bystrzynami. Stado nietoperzy czarnym cieniem przemknęło pod zorzą.

Przez Obłoczne Błonia podskokami zbliżała się jakaś postać. Miała dwie ręce i dwie nogi, jednak jej stopy były chwytne, a całe ciało, aż po koniec ogona i szerokich skrzydeł, pokrywały pióra. Jej twarz, na wpół ludzka, była niemal całkowicie wypełniona wielkimi oczyma. Gdyby Ayoch potrafił stanąć prosto, sięgałby chłopcu do ramienia. Dziewczyna wstała.

- Niesie jakiś ciężar - powiedziała. Jej wzrok nie był przystosowany do ciemności tak dobrze, jak wzrok istot urodzonych na północy, nauczyła się jednak korzystać ze wszystkich sygnałów, jakie otrzymywała od swych zmysłów. Pomijając nawet to, że normalnie puk by frunął, w jego spieszych ruchach widać było ociężałość.

- I idzie z południa. - Chłopca ogarnęło podniecenie, nagle jak zielony płomień, który przeszedł przez gwiazdozbiór Lyrth. Pognał w dół zboczem kurhanu.

- Ahoj, Ayoch! - zawołał. - Jestem tu. Pasterz Mgły!

- I ja. Cień Snu - dziewczyna zaśmiała się, biegnąc za nim. Puk zatrzymał się. Jego oddech zagłuszał szmery w zaroślach wokół niego. Z miejsca, w którym stał, uniósł się zapach rozartej yerby.

- Szczęśliwe jest spotkanie u progu zimy - zaświstał. - Pomóżcie mi zanieść go do Carheddin.

Wyciągnął przed siebie to, co niósł. Jego oczy przypominały dwie żółte latarnie. Kształt w jego rękach poruszył się i zakwilił.

- O, dziecko - powiedział Pasterz Mgły.

- Takie samo jak ty kiedyś, synu, takie samo. Co to było za porwanie, ho, ho! - Ayoch nadał

się, dumny. - Było ich ze dwudziestu w tym obozie koło Martwego Lasu, wszyscy uzbrojeni, i poza maszynami wartowniczymi mieli jeszcze wielkie, okropne psy, biegające wolno, kiedy spali. Ja jednak nadleciałem z góry - a szpiegowałem ich, aż do chwili kiedy się upewniłem, że garstka pyłu nasennego...

- Biedne maleństwo. - Cień Snu wzięła chłopca na ręce i przytuliła do swych małych piersi. -

Wciąż taki zaspany, prawda? - Chłopiec na ślepo poszukał jej sutki. Uśmiechnęła się poprzez welon swych włosów. - Nie, jestem jeszcze zbyt młoda, a ty już za duży. Ale poczekaj, najesz się do syta, gdy się obudzisz w Carheddin pod górą.

- Yo-ah - powiedział Ayoch miękko i cicho. - Ona już wyszła. Słyszała i widziała. Nadchodzi.

Przykucnął, skulił się ze złożonymi skrzydłami. Po chwili ukląkł i Pasterz Mgły też ukląkł, a potem Cień Snu, nie wypuszczając jednak dziecka z rąk.

Wysoka sylwetka przesłoniła księżycę. Przez chwilę Królowa przyglądała się klęczącej trójce i ich łupowi. Dźwięki wzgórz i pól wycofały się z ich świadomości, aż zaczęło im się wydawać, że mogliby usłyszeć, jak syczą światła północy. W końcu Ayoch szepnął:

- Czy dobrze zrobiłem. Matko Gwiazd?

- Jeżeli ukradłeś dziecko z obozu pełnego maszyn - odpowiedział piękny głos - to ukradłeś je ludziom z dalekiego południa, którzy mogą nie puścić tego płazem tak łatwo jak tutejsi.

- Ale co mogą na to poradzić, Sypiąca Śniegiem? - spytał puk. - Jak nas wyśledzą?

Pasterz Mgły podniósł głowę i powiedział dumnie:

- Poza tym teraz oni również czują przed nami strach.

- To takie słodkie maleństwo - powiedziała Cień Snu. - A my potrzebujemy więcej takich jak on, prawda, Gwiazdna Pani?

- Któregoś z nich to musiało się zdarzyć - zgodziła się ta, która stała ponad nimi. -

Zabierzcie go i otoczcie opieką. Przez ten znak - zrobiła znak - należy on do Mieszkańców.

Ich radość została uwolniona. Ayoch wywinął kozła i wylądował pod trzęsoliściem. Wspiął

się na jego pień, potem na gałąź, przysiadł, na wpół ukryty za zasłoną bladych, niespokojnych liści, i radośnie zapiszczał. Chłopiec i dziewczyna ponieśli dziecko ku Carheddin, biegnąc długimi, spokojnymi susami, które jemu pozwalały grać, a jej śpiewać: Wahali, wahaii!

Wayala, laii!

Skrzydło na wietrze

W niebiosach wysoko,

krzycząc i piszcząc

gnaj włócznie deszczu,

we wrzawie się zanurz,

i płyn ku srebrem księżyców posiwiałym drzewom

i cieniom pod nimi, ciężkim od snów.

i zjednocz się, wkołysz w plusk fal na jeziorach,

w których gwiazd światło nurkuje i tonie.

Barbro Cullen weszła i mimo żalu i gniewu, które ją trawiły, zamarła z osłupienia. W pokoju panował bałagan. Sterty gazet, taśm, szpul, kodeksów, pudeł na fiszki, zabazgranych papierów piętrzyły się na każdym stole. Niemal wszystkie półki i zakamarki pokryte były kurzem. Pod jedną ze ścian stał stół laboratoryjny z mikroskopem i sprzętem. Zauważyła; że ten sprzęt był sprawny, choć zaskakujący w biurze. Poza tym wydzielał delikatny, ale wyraźnie wyczuwalny zapach chemikaliów.

Dywan był poprzecierany, meble zniszczone.

Taka miała być jej ostatnia szansa?

Potem nadszedł Eryk Sherrinford.

- Dzień dobry, pani Cullen - powiedział. Jego głos był suchy, uścisk dłoni mocny i pewny.

Miał na sobie wypłowiały kombinezon, ale to jej nie przeszkadzało. Nie zdradzała przesadnej

dbałości nawet o swój własny wygląd, może poza jakimiś specjalnymi okazjami. (A czy kiedykolwiek będzie jeszcze jakąś miała, jeżeli nie odzyska Jimmiego?) Natomiast niczym kot przestrzegąca czystości osobistej.

Z kurzych łapek w kącikach jego oczu promieniował uśmiech.

- Proszę wybaczyć mi kawalerski styl gospodarzenia. Na Beowulfie mamy, a w każdym razie mieliśmy, specjalne maszyny, więc nie zdołałem nabrać odpowiednich przyzwyczajęń. A nie chcę nikogo wynajmować, żeby mi przedstawiał sprzęt. Wygodniej pracować poza domem, niż dbać o oddzielne biuro. Nie usiądzie pani?

- Nie, dziękuję. Nie mogłabym - mruknęła.

- Rozumiem. Jednak jeśli pani pozwoli, ja najlepiej funkcjonuję w pozycji sprzyjającej relaksowi.

Opadł na fotel, zgiąwszy się jak scyzoryk. Jedną z długich nóg przerzucił przez kolano drugiej. Wyjął fajkę i nabił ją tytoniem z kapciucha. Barbro zdziwiła się, że Sherrinford pali tytoń w tak przestarzały sposób. Gdzie jak gdzie, ale na Beowulfie powinni mieć nowoczesne urządzenia, na jakie na Rolandzie jeszcze nie mogli sobie pozwolić. No cóż, stare zwyczaje mogły oczywiście przetrwać. Jak pamiętała z lektury, w koloniach było to nagminne. Ludzie ruszyli ku gwiazdom w nadziei zachowania tak niemodnych rzeczy jak ojczysty język, rządy konstytucyjne czy racjonalna cywilizacja techniczna...

Sherrinford wyrwał ją ze zmęczonego zmęczeniu, beładnego zamyślenia.

- Musi mi pani przedstawić szczegóły swojej sprawy, pani Cullen. Powiedziała mi pani tylko tyle, że pani syn został porwany, a wasza miejscowa policja nic w tej sprawie nie zrobiła. Poza tym znam tylko kilka najbardziej oczywistych faktów, takich jak to, że jest pani wdową, a nie rozwódką, że jest pani córką pionierów z Ziemi Olgi Ivanoff, utrzymujących jednak ścisłą więź

telekomunikacyjną z Przystanią Bożego Narodzenia, że otrzymała pani wykształcenie w jednej z dyscyplin biologicznych i że miała pani kilkuletnią przerwę w podjętej ponownie dopiero ostatnio pracy w terenie.

Wpatrywała się ze zdumieniem w jego twarz, w wystające kości policzkowe, orli nos, szare oczy, czarne włosy. Zapalniczka zrobiła "skrrt" i rozbłysła płomieniem, który zdał się wypełniać cały pokój. Na tej wysokości ponad miastem panowała cisza, przez okna sączył się zimowy półmrok.

- Skąd, na kosmos, pan to wie? - usłyszała swoje pytanie. Wzruszył ramionami.

- Moja praca - powiedział, przybierając pozę, z której był znany, pozę wykładowcy podczas odczytu - polega na dostrzeganiu i kojarzeniu szczegółów. W ciągu tych stu lat ludzie na Rolandzie, przy ich tendencji do łączenia się w grupy zgodnie z pochodzeniem i nawykami kulturowymi, wykształcili regionalne różnice akcentów. U pani słychać ślady olgańskiej gardłowej wymowy spółgłoski "r", ale samogłoski wymawia pani nosowo, w sposób charakterystyczny dla tutejszego regionu. Mimo że mieszka pani w Portolondonie. To sugeruje, że w dzieciństwie miała pani stałą styczność z wymową

stołeczną. Wspomniała mi pani, że była członkiem ekspedycji Matsuyamy i że zabrała pani ze sobą swego synka. Zwykłemu technikowi nie pozwolono by na to, a więc pani musiała być na tyle cenna, że przymknięto oczy na dziecko. Ekspedycja prowadziła badania ekologiczne, stąd wniosek, że jest pani związana z naukami przyrodniczymi. Z tego samego wnoszę, że musiała pani mieć wcześniejsze doświadczenie w pracy w terenie. Jednak pani skóra jest jasna, nie nosi śladów ogorzałości, której się nabiera podczas długotrwałego przebywania w promieniach tego słońca. Musiała więc pani dość długi okres przed wyruszeniem na tę nieszczęsną wyprawę spędzić głównie pod dachem. A co do wdowieństwa - nie wspomniała pani ani razu o swym mężu, a przecież miała pani mężczyznę, którego do dzisiaj ceni pani na tyle, by nosić zarówno obrączkę, jak i pierścionek zaręczynowy.

Jej oczy zaszyły mgłą i zapiekły. Ostatnie słowa znów przywołały obraz Tima - ogromnego, łagodnego, wiecznie uśmiechniętego. Musi odwrócić wzrok od tego człowieka, spojrzeć w okno.

- Tak, ma pan rację - zdołała powiedzieć.

Mieszkanie znajdowało się na szczycie wzgórza, wznoszącego się nad Przystanią Bożego Narodzenia. Poniżej opadało miasto, ścianami, dachami, archaicznymi kominami, jaśniejącymi światłem lamp ulicami, rozjarzonymi ślepiami pojazdów, coraz niżej, aż do portu, po łuk Zatoki Śmiałków i statki, płynące do i z Wysp Podświetlnych oraz dalszych regionów błyszczącego jak rtęć w poświacie znad zachodniego horyzontu Oceanu Północnego. Stojący w pełni Olivier wznosił

się szybko - cętkowana pomarańczowa tarcza. Bliżej zenitu, którego nigdy nie osiągnie, będzie promieniował barwą lodu. Alde, z pozoru dwukrotnie większy niż w rzeczywistości, był cienkim sierpem, wiszącym tuż przy Syriuszu, który z kolei, jak pamiętała, znajdował się blisko Ziemi. Ale Ziemi nie można zobaczyć bez teleskopu...

- Tak - powiedziała poprzez dławiący gardło ból - mój mąż nie żyje już od czterech lat.

Nosiłam nasze pierwsze dziecko, gdy zabił go uciekający na oślepec monocerus. Wzięliśmy ślub trzy lata wcześniej. Spotkaliśmy się, gdy oboje przebywaliśmy na uniwersytecie - wie pan, transmisje z centrum szkolnego mogą zapewnić tylko elementarne wykształcenie... Stworzyliśmy własny zespół, przeprowadzający zleczone badania ekologiczne... określanie, czy jakiś obszar może zostać zasiedlony przy utrzymaniu równowagi środowiska naturalnego, jakie zboża się tam udadzą, jakie wiążą się z tym niebezpieczeństwa... tego typu zagadnienia. No i tak... Potem wykonywałam prace laboratoryjne dla spółdzielni rybackiej w Portolondonie, Ale ta monotonia, to zamknięcie... to mnie wykańczało. Profesor Matsuyama zaproponował mi miejsce w zespole organizowanym dla zbadania Ziemi Komisarza Hauncha. Myślałam, niech mi Bóg wybaczy, myślałam, że Jimmy... Gdy testy wykazały, że to będzie chłopiec, Tim zdecydował, że damy mu na imię James, po dziadku i dlatego, że "Timmy i Jimmy" to się rymuje... no więc myślałam, że Jimmy będzie bezpieczny, że mogę go spokojnie zabrać ze sobą. Nie mogłam znieść myśli, że miałabym zostawić go na kilka miesięcy, nie w jego wieku. Miałam pewność, że ani na chwilę nie wyjdzie z obozu. A co mogło mu się stać w obozie? Nigdy nie wierzyłam w te historie o Zewnętrznych, którzy kradną ludzkie dzieci. Uważałam, że rodzice starają się w ten sposób usprawiedliwić własną lekkomyślność, to, że pozwolili dziecku zgubić się w lesie lub że go nie uchronili przed atakiem sfory szatanów czy... no cóż, przekonałam się, że nie miałam racji, panie Sherrinford. Roboty wartownicze ominięto, psy zostały uspijone, a gdy się zbudziłam, Jimmiego już nie było.

Przyglądał jej się przez obłok dymu z fajki. Barbro Engdahl Cullen miała około trzydziestu lat (rolandyjskich, dodał w myślach, czyli dziewięćdziesiąt pięć procent analogicznej liczby lat ziemskich, nie to co lata na Beowulfie). Była dużą, postawną kobietą, szeroką w ramionach, długonogą, o pełnych piersiach. Poruszała się lekkim, sprężystym krokiem. Miała szeroką twarz o prostym nosie, orzechowych, śmiało patrzących oczach i może zbyt wydatnych, ale ruchliwych i pełnych wyrazu ustach. Jej rudobrązowe włosy przycięte były tuż poniżej uszu. Miała na sobie proste, codzienne ubranie. Chcąc uspokoić nerwowe ruchy jej palców spytał ironicznie:

- Ale teraz już pani wierzy w Zewnętrznych?

- Nie. Chociaż nie jestem tego tak pewna jak przedtem. - Odwróciła się, spoglądając na niego z ukosa. - Poza tym znaleźliśmy ślady.

- Okruchy skamielin - skinął głową. - Kilka znalezisk typu neolitycznego. Jednak wszystkie bardzo stare, jakby ich twórcy zmarli wieki temu. Nawet dokładne poszukiwania nie zdołały dostarczyć żadnego niepodważalnego dowodu na to, że przetrwali.

- Jak dokładne mogą być poszukiwania w tej latem sieczzonej burzami, a zimą ciemnej i ponurej dziczy wokół Bieguna Północnego? - spytała wyzywająco. - Gdy jest nas - ile? - milion ludzi na całej planecie, z czego połowa stłoczona w tym mieście?

- A reszta na jedynym zamieszkanym kontynencie - odpowiedział.

- Arktyka zajmuje pięć milionów kilometrów - rzuciła - z czego właściwa Strefa Arktyczna aż jedną czwartą. Nie mamy dostatecznej bazy przemysłowej, żeby umieścić tam satelity obserwacyjne, zbudować samoloty, na których można by w tamtych regionach polegać, przeprowadzić przez te przeklęte pustkowia drogi i założyć stałe bazy. Żeby je poznać i ujarzmić.

Boże, całe pokolenia samotnych pionierów opowiadały historie o Szarowłosym i aż do zeszłego roku nie widział tego zwierzęcia żaden naukowiec!

- Mimo tego pani ciągle nie wierzy w realność Zewnętrznych?

- A może to jakiś tajemny kult wśród ludzi, zrodzony z odosobnienia i ignorancji? Jego wyznawcy kryją się gdzieś w dziczy, gdzie mogą kradnąc dzieci dla jakichś... - przełknęła ślinę.

Opuściła bezsilnie głowę. - Ale to pan jest uważany za eksperta.

- Z tego, co mi pani powiedziała przez wizjofon, wynikało, że policja portolondońska kwestionuje dokładność złożonego przez waszą grupę raportu. Uważa, że większość z was uległa histerii, że po prostu nie zachowaliście odpowiednich środków ostrożności i dzieciak sobie gdzieś potupał tak, że nie mogliście go odnaleźć.

Beznamiętność tych słów uwolniła ją od przerażenia.

Jak dziecko pierwszego lepszego osadnika? - powiedziała gwałtownie, nagle zarumieniona. -

Nie. Ja nie siadłam, żeby wyć z rozpaczu.. Skomunikowałam się z archiwum. Nieco za dużo tego typu wydarzeń jest zarejestrowanych, żeby nieszczęśliwy wypadek był w pełni zadowalającym wytłumaczeniem. A czy mamy zupełnie ignorować te pełne strachu opowieści o powrotach? Gdy jednak wróciłam na policję z faktami, po prostu mnie spławili. Podejrzewam, że zrobili tak nie tylko dlatego, że mają niedobory personelu. Myślę, że oni również się boją. Przecież rekrutują się głównie ze wsi, a Portolondon leży tuż przy skraju nieznanego. Uszła z niej cała energia.

- Roland nie ma żadnych centralnych sił policyjnych - zakończyła bezbarwnym głosem. - Pan jest moją ostatnią nadzieją.

Mężczyzna dmuchnął dymem w ciemność zmierzchu, potem, głosem już łagodniejszym, powiedział:

- Proszę za bardzo nie podsycać w sobie tej nadziei, pani Cullen. Jestem jedynym prywatnym detektywem na tej planecie, bez żadnego zaplecza i zasobów poza sobą samym i na dodatek przybyłem tu niedawno.

- To znaczy kiedy, jak długo pan tu jest?

- Dwanaście lat. Czas ledwo wystarczający na pobieżne zapoznanie się ze względnie cywilizowanym wybrzeżem. A interior Arktyki... Co wy - nawet wy - osadnicy sprzed wieku lub z jeszcze dawniejszych czasów o nim wiecie? - Westchnął. - Wezmę tę sprawę, licząc nie więcej, niż będę musiał, głównie ze względu na doświadczenie, jakie mi ona przyniesie. Ale pod warunkiem, że pani będzie moim przewodnikiem i asystentem. Bez względu na ból, jaki to może pani sprawić.

- Oczywiście! Nie znoszę bezczynnego oczekiwania. Ale dlaczego ja?

- Wynajęcie tutaj, na dziewiczej, dopiero zasiedlanej planecie, gdzie każda para rąk ma tysiąc pilnych zadań do wykonania, kogoś innego o równie wysokich kwalifikacjach, niepomiernie podniosłoby koszty. Poza tym pani ma motywację. A ja jej potrzebuję. Jako ktoś urodzony w innym świecie, zupełnie różnym od tego tutaj, z kolei zupełnie różnego od Matki Ziemi, zbyt dobrze zdaję sobie sprawę, jak małe mamy szansę.

Nad Przystanią Bożego Narodzenia gęstniała noc. Powietrze ciągle było łagodne, jednak snujące się po ulicach macki mgły, podświetlane migotliwie, miały w sobie coś mroźnego, a jeszcze mroźniejsza była drżąca między księżycami zorza. W ciemniejszym pokoju kobieta przysunęła się bliżej do mężczyzny, z pewnością nie zdając sobie z tego sprawy, aż do chwili, gdy on włączył

światło. Dzielili tę samą wiedzę o samotności Rolanda.

Dla galaktyki, dla galaktycznych przestrzeni jeden rok świetlny to nie jest dużo. Można by go przejść na piechotę, w około 270 milionów lat, wyruszywszy wtedy, gdy dinozaury należały jeszcze do odległej przyszłości, gdzieś w środku Permu, i idąc aż po dzień dzisiejszy, gdy statki kosmiczne przemierzają nawet bardziej rozległe przestrzenie. Jednak w naszym sąsiedztwie gwiazdy oddalone są od siebie średnio o dziewięć lat świetlnych i zaledwie jeden procent z nich, lub nawet mniej, ma planety, na których mógłby zamieszkać człowiek. A prędkości statków są ograniczone, mniejsze od tych, z którymi poruszają się promienie. Pewną, niewielką pomocą służy relatywistyczne

spowolnienie czasu oraz zawieszenie czynności życiowych podczas podróży. Sprawia to, że wydają się one krótkie, jednak poza statkiem historia nie wstrzymuje swego biegu.

Dlatego też wędrówki między gwiazdami zawsze będą należały do rzadkości. Kolonistami będą tylko ci, którzy mają naprawdę ważne, ostateczne przyczyny, by wyjechać. Będą zabierali ze sobą plazmę zarodkową dla egzogenicznych hodowli roślin i zwierząt domowych - a także ludzkich dzieci - by przez szybki przyrost populacji uniknąć wymierania kolonii wskutek zmian genetycznych. Przecież nie będą mogli liczyć na napływ nowych imigrantów. Dwa lub trzy razy w ciągu stulecia zjawi się statek z jakiejś innej kolonii. (Nie z Ziemi, Ziemia już dawno stała się obcym światem.) Przyleci z którejś z dawniej zasiedlonych planet. Nowe osady nie są w stanie budować i obsadzać załogą statków kosmicznych.

Samo przetrwanie tych osad jest wątpliwe, nie tylko ich ewentualny rozwój techniczny. We wszechświecie, niespecjalnie zaprojektowanym dla człowieka, założyciele kolonii muszą przyjmować to, co jest im dane.

Na przykład Roland. Jest to jedno z tych jakże rzadkich szczęśliwych znalezisk - planeta, na której ludzie mogą żyć, oddychać, jeść miejscową żywność, pić wodę, chodzić bez ubrania, jeśli taka ich wola, siać swoje zboża, wypasać zwierzęta, ryc kopalnie, wznosić domy, wychowywać dzieci i wnuki. Warto było przemierzyć trzy czwarte świetlnego stulecia, by zachować pewne drogie sercu wartości i zapuścić nowe korzenie w glebę Rolanda.

Jednak Gwiazda Karola Wielkiego jest typu F9, czterdzieści procent jaśniejsza niż Soł -

jeszcze intensywniej promieniuje w zdradzieckim ultrafiolecie i smaga jeszcze dzikszymi wiatrami naładowanych cząsteczek. Również orbita planety jest ekscentryczna. W środku krótkiego, lecz prawdziwie okrutnego północnego lata, podczas przejścia przez periastron, suma nasłonecznienia dwukrotnie przewyższa tę, którą otrzymuje Ziemia. A w głębi długiej, północnej zimy jest niewiele niższa niż ziemską średnia.

Miejscowe życie płeni się wszędzie, bardzo obficie. Jednak człowiek, nie mając skomplikowanych urządzeń, ekonomicznie niezdolny do ich konstrukcji na skalę większą niż jednostkowa, może wytrzymać tylko w pasach o dużych szerokościach geograficznych.

Dziesięciostopniowe nachylenie osi wraz z nietypową orbitą sprawiają, że północne części Arktyki przez połowę swego roku są całkowicie pozbawione światła słonecznego. Wokół południowego bieguna rozciąga się pusty ocean.

Na pierwszy rzut oka ważniejsze mogą się wydawać inne różnice między Rolandem a Ziemią. Roland ma dwa księżyce, niewielkie, ale bliskie, które wywołują ścierające się ze sobą pływy. Obraca się on wokół osi w ciągu trzydziestu dwóch godzin, co subtelnie, lecz bezustannie zakłóca funkcjonowanie organizmów wykształconych przez gigałata szybszego rytmu. Układy pogodowe są całkowicie nieterrańskie. Planeta ma zaledwie 9500 kilometrów średnicy, grawitacja na jej powierzchni wynosi 0.42×980 cm/s², ciśnienie na poziomie morza lekko przekracza jedną atmosferę. (Ziemia jest w rzeczywistości wybrykiem natury i człowiek istnieje tylko dzięki temu, że kosmiczna katastrofa zdmuchnęła z niej większość gazu, który powinien być zatrzymany przez ciało

tej wielkości - tak jak w przypadku Wenus).

Homo może być szczerze nazwany sapiens tylko wtedy, gdy praktykuje swą specjalność bycia niewyspecjalizowanym. Jego ciągle ponawiane próby zamrożenia się we wszechobjaśniających wzorcach, kulturach, ideologiach, czy jakkolwiek to nazywał, powodowały ponawiające się katastrofy. Postawiony przed praktycznym, konkretnym zadaniem przeżycia, zwykle radzi sobie całkiem nieźle. Przystosowuje się, w pewnych granicach, dość zresztą szerokich.

Te granice są ustalone przez takie czynniki jak potrzeba światła słonecznego, jak to, że człowiek jest, nieodwołalnie i ostatecznie, częścią życia, które go otacza, i że jest istotą, która ma duszę.

Portolondon pchał się przystaniami, łodziami, maszyną, składami do Zatoki Polaris. Z

tyłu, za tym wszystkim, tłoczyły się domy jego 5000 stałych mieszkańców: betonowe mury, przeciwsztormowe okiennice, spiczaste, kryte płytami dachy. Ich różnorakie barwy beznadziejnie ginęły w świetle lamp - to miasto leżało za Kręgiem Polarnym.

Mimo tego Sherrinford powiedział:

- Wesołe miejsce, co? Właśnie czegoś takiego szukałem przyjeżdżając na Rolanda.

Barbro nie odpowiedziała. Te dni spędzone w Przystani Bożego Narodzenia, kiedy on prowadził swoje przygotowania, wyraźnie ją wyczerpały. Gapiła się przez kopułę taksówki, mknącej z nimi ku śródmieściu od strony drogi wodnej, która ich tu przywiodła. Przypuszczała, że Sherrinford miał na myśli bujność lasów i łąk wzdłuż szosy, jaskrawe barwy i fosforescencję kwiatów w ogrodach, trzepot skrzydeł nad głowami. W odróżnieniu od ziemskiej flory ze stref zimnych roślinność Arktyki spędza każdą rozjaśnioną dniem godzinę na gwałtownym rozrastaniu się i gromadzeniu energii. Zakwitnie i zaowocuje dopiero wtedy, gdy letnia gorączka ustąpi miejsca łagodnej zimie, a przesypiające lato zwierzęta wyjdą ze swych nor i wędrowne ptaki wrócą do domu.

Musiała przyznać, że widok był wspaniały: za drzewami rozległość wznosząca się ku dalekim wzgórzom, srebrnoszara w świetle księżyca, i zorza - rozproszone światło słońca, kryjącego się tuż poniżej horyzontu.

Wspaniałe jak polujący szatan - pomyślała - i równie przerażające. Ta dzicz ukradła Jimmiego. Zastanawiała się, czy będzie jej dane odnaleźć przynajmniej kości, by zanieść je ojcu dziecka.

Nagle zdała sobie sprawę, że ona i Sherrinford dotarli do hotelu i że on mówił o mieście.

Ponieważ było ono drugie pod względem wielkości po stolicy, już przedtem musiał często tu bywać.

Ulice były hałaśliwe i pełne ludzi, neony migotały, muzyka buchała ze sklepów, barów, restauracji, centrów sportowych, sal tanecznych; stłoczone samochody płynęły wolno jak melasa; kilkupiętrowe biurowce płonęły światłami. Portolondon był ogniwem łączącym ogromne obszary w głębi kontynentu ze światem zewnętrznym. Rzeką Glorii spływały tratwy ze z grubsza obrobionym drewnem; barki z rudą i z plonami farm, których właściciele powoli zmuszali rolandyjską przyrodę, by im służyła; z mięsem, kośćmi i futrami, zebranych przez myśliwych w górach za Urwiskiem Trolli.

Od strony morza napływały przybrzeżne frachtowce, rybackie floty, produkty z Wysp Podstępnych, łupy z całych kontynentów, leżących dalej na południu, gdzie różni śmiałkowie szukali przygód. Przybywający z tym wszystkim ludzie chcieli się wyszumieć w Portolondonie, śmiali się, rozrabiali, zrywali, rabowali, wygłaszali kazania, chlali, puszczały pieniądze, harowali, marzyli, pożądaliby, budowali, niszczyli, umierali, rodzili się, byli szczęśliwi, gniewni, smutni, zachłanni, wulgarni, kochający, ambitni, ludzcy. Ani blask słońca gdzie indziej, ani północny zmierzch tutaj - głęboka noc w środku zimy - nie były w stanie ich powstrzymać.

Przynajmniej tak wszyscy twierdzili.

Wszyscy z wyjątkiem tych, którzy osiedli w strefie ciemności. Barbro przyjmowała za rzecz naturalną, że hołdują oni dziwnym obyczajom, tworzą legendy i ulegają przesądom - umrą one, gdy bezdroża zostaną całkowicie skartografowane i poskromione. Ostatnio jednak zaczynała w to wątpić.

Być może przyczyniły się do tego wzmianki Sherrinforda o zmianie jego własnych poglądów, spowodowanej wynikami wstępnych badań.

A może po prostu potrzebowała tematu do rozmyślań. Innego niż ten, jak Jimmy, na dzień przed swym zniknięciem, gdy go spytała, czy woli kanapkę z żytniego czy z francuskiego chleba, z wielką powagą odpowiedział: "Zjem kromkę tego, co my, ludzie, nazywamy F-chlebem"; ostatnio zaczynał interesować się alfabetem.

Prawie nie zauważyła momentu wyjścia z taksówki, meldowania się w hotelu i drogi do skąpo umeblowanego pokoju. Jednak gdy się rozpakowała, przypomniała sobie, że Sherrinford zaproponował poufną rozmowę. Przeszła przez korytarz i zapukała do jego drzwi. Jej palce stukały ciszej niż serce.

Otworzył drzwi i z palcem na ustach poprowadził ją w róg pokoju. Zjeżyła się wewnątrz, lecz po chwili na ekranie wizjofonu zobaczyła twarz komisarza Dawsona. Sherrinford najwyraźniej do niego dzwonił i miał zapewne powód, żeby trzymać ją poza zasięgiem kamery. Znalazła sobie krzesło i przyglądała się, wbijając paznokcie w kolana.

Długa postać detektywa ponownie zgięta się w fotelu.

- Przepraszam za tę przerwę - powiedział. - Jakichś facet pomylił numery. Pijany, sądząc po oznakach. Dawson zachichotał.

- Mamy ich tu sporo.

Barbro przypomniała sobie, że komisarz jest zamiłowanym gadułą. Poglądził brodę - był do niej tak przywiązany, jakby był pionierem, a nie mieszkańcem miasta.

- Zwykle są niegroźni, po prostu naładowani po tygodniach czy miesiącach spędzonych na pustkowiu, i muszą się rozładować.

- Stwierdziłem, że to otoczenie - Sherrinford ubił tytoń w fajce - różniące się milionem mniej czy

bardziej ważnych szczegółów od tego, które stworzyło ludzi - że to otoczenie wyczynia dziwne rzeczy z ludzką osobowością. Oczywiście wie pan, że moja praca ogranicza się do miast i regionów podmiejskich. Odizolowane, odległe osady rzadko potrzebują prywatnych detektywów. Jednak teraz ta sytuacja wydaje się ulegać zmianie. Zadzwoiłem do pana, by prosić o radę.

- Pomogę z przyjemnością - powiedział Dawson. - Nie zapomniałem, co pan dla nas zrobił w sprawie morderstwa de Tahoe. - I ostrożniej: - Jednak niech pan najpierw wyłoży swój problem.

Sherrinford zapalił fajkę. Zapach tytoniu przebił się przez aromaty zieleni, które - nawet tutaj, parę wyasfaltowanych kilometrów od najbliższego lasu - przepływały ponad ulicznym zgiełkiem i wdzierały się przez przyciemnione zmierzchem okno.

- To raczej misja naukowa niż poszukiwanie ukrywającego się dłużnika czy szpiega przemysłowego - powiedział przeciągając słowa. - Stoję w obliczu dwóch możliwości: albo od dawna działa, kradnąc niemowlęta, jakaś organizacja kryminalna, religijna czy jakakolwiek inna lub też, to druga możliwość. Zewnętrzni z ludowych opowieści to rzeczywistość.

- Co? - Barbro zauważyła, że na twarzy Dawsona maluje się w równym stopniu przerażenie co zaskoczenie. - Chyba nie mówi pan tego poważnie?

- Dlaczego? - Sherrinford uśmiechnął się. - Nie można odrzucać ot tak sobie doniesień gromadzonych przez kilka pokoleń. Tym bardziej że ich ilość i wzajemna zgodność wcale nie maleją z biegiem czasu, wręcz przeciwnie - rosną. Nie możemy także ignorować udokumentowanych zaginięć niemowląt i małych dzieci; liczba takich przypadków przewyższa sto, a nigdy nie odnaleziono najmniejszego śladu porwanych. Nie możemy lekceważyć znalezisk, które dowodzą, że Arktykę zamieszkiwały niegdyś inteligentne stworzenia, być może ciągle nawiedzające interior.

Dawson wychylił się, jakby chciał wyjść z ekranu.

- Kto pana wynajął? Ta kobieta, Cullen? Bardzo jej współczujemy, oczywiście, ale w tym, co mówiła, nie było zbyt wiele sensu. A kiedy zaczęła nas jawnie obrażać...

- Czy jej koledzy, poważani naukowcy, nie potwierdzili jej słów?

- Nie było co potwierdzać. Proszę pana, ich obóz był otoczony różnymi detektorami i urządzeniami alarmowymi, a poza tym trzymali dogi. To normalne w okolicy, w której może się przyplątać jakiś głodny sauroid czy cokolwiek. Nic nie mogło się tam dostać niepostrzeżenie.

- To z ziemi. A co z zagrożeniem z powietrza?

- Człowiek z wirolotem na plecach postawiłby na nogi cały obóz.

- Coś, co ma własne skrzydła, mogło być cichsze.

- Latające stworzenie, które potrafiłoby unieść trzyletnie dziecko? Nic takiego nie istnieje.

- Ma pan na myśli, komisarzu, że nie zostało opisane w literaturze naukowej. Niech pan sobie

przypomni Szarowłosego. Niech pan pamięta o tym, jak mało wiemy o Rolandzie, o planecie, o całym tym świecie. Na Beowulfie takie ptaki istnieją, i na Rustum, jak czytałem, też.

Przeprowadziłem obliczenia, oparte na tutejszym stosunku gęstości powietrza do grawitacji i, tak, również tutaj jest to w pewnym stopniu możliwe. To stworzenie mogło nieść dziecko w powietrzu przez krótki czas, zanim mięśnie skrzydeł mu się zmęczyły i musiało wylądować.

Dawson prychnął.

- Najpierw wylądowało i weszło do namiotu, w którym spali chłopiec i jego matka. Potem uniosło dziecko, a kiedy już nie mogło lecieć, poszło na piechotę. Czy tak zachowują się dzikie ptaki?

A ofiara nie krzyczała, psy nie szczekały?

- W gruncie rzeczy - powiedział Sherrinford - te nielogiczności są najbardziej interesującymi i przekonywającymi aspektami całej tej sprawy. Ma pan rację, trudno sobie wyobrazić, żeby mógł się tam niepostrzeżenie dostać kidnaper - człowiek, a z drugiej strony stworzenie typu orła nie działałoby w taki sposób. Jednak żadne z tych zastrzeżeń nie odnosi się do obdarzonej skrzydłami istoty inteligentnej. Chłopcu mógł zostać podany środek nasenny. A psy niewątpliwie wyglądały tak, jakby dostały coś podobnego.

- Psy wyglądały tak, jakby zasnęły. Nic im w tym nie przeszkodziło. Nie przeszkodziłby im właśnie wałęsający się chłopiec. Nie musimy tutaj snuć żadnych przypuszczeń, poza tymi, że po pierwsze chłopiec obudził się i zniecierpliwiał bezczynnością, a po drugie, że urządzenia alarmowe zostały zamontowane nieco bezmyślnie i pozwoliły mu przekroczyć granicę obozu. Świadczy to o tym, do jakiego stopnia nie oczekiwano niebezpieczeństwa od wewnątrz. Wreszcie po trzecie, chociaż naprawdę przykro mi to mówić, musimy założyć, że biedny brzdąc umarł z głodu lub został

zabity.

Dawson chwilę milczał, potem dodał:

- Gdybyśmy mieli więcej ludzi, moglibyśmy poświęcić tej sprawie więcej czasu, i oczywiście zrobilibyśmy to. Dokonaliśmy zwiadu powietrznego, ryzykując życie naszych pilotów. Użyliśmy przy tym instrumentów, które wykryłyby dzieciaka w promieniu pięćdziesięciu kilometrów. Chyba że był martwy. Wie pan, jak czułe są analizatory termiczne. Rezultaty były zerowe. A mamy ważniejsze zadania niż poszukiwanie rozrzuconych szczątków jego ciała. Jeżeli to pani Cullen pana wynajęła - zakończył obcesowo - radzę panu znaleźć wymówkę, by się z tego wycofać. Tak będzie lepiej również i dla niej. Musi zacząć liczyć się z rzeczywistością. Barbro zdusiła okrzyk, gryząc się w język. :

- Ale to jedynie ostatnie z całej serii zniknięć - powiedział Sherrinford. Nie potrafiła zrozumieć, jak mógł mówić tak swobodnym tonem, podczas gdy Jimmy był nie wiadomo gdzie.

- Zostało dokładniej opisane niż wszystkie poprzednie - kontynuował - przez to bardziej działa na wyobraźnię. Zwykle rodzina pionierów składała pełne rozpacz, lecz mało dokładne doniesienie o

swym zaginionym dziecku, które, jak utrzymywali, na pewno zostało porwane przez Dawny Lud. Czasami, w wiele lat później, opowiadali o tym, że je widzieli. Przysięgali, że to było ich zaginione dziecko, wyrosnięte, nie całkiem już ludzkie; przysięgali, że widzieli, jak przemyka w ciemnościach, zerka przez okno lub płata im psoty. Utrzymuje pan, że ani władze, ani naukowcy nie mają dostatecznego personelu czy środków, żeby przeprowadzić odpowiednie dochodzenie. Ja jednak twierdzę, że te sprawy są warte wyjaśnienia, i być może prywatna osoba, jak ja, może się do tego przyczynić.

- Niech pan posłucha, większość z nas, policjantów, wychowała się na bezdrożach. Jeździmy tam nie tylko na patrole i do wypadków, ale również na urlopy i święta rodzinne. Jeżeli gdzieś w okolicy byłaby... jakaś banda porwaczy ludzi, wiedzielibyśmy o tym.

- Zgoda. Ale wiem również, że wśród ludzi, z których się wywodzicie, utrzymuje się głęboko zakorzeniona i bardzo rozpowszechniona wiara w istnienie pozaludzkich istot o nadnaturalnych zdolnościach. Wielu odprawia rytualne modły i składa ofiary, żeby te istoty sobie zjednać.

- Wiem, do czego pan zmierza - powiedział Dawson drwiąco. - Słyszałem to niejednokrotnie, od stu różnych łowców sensacji. Aborygeni to Zewnętrzni. Miałem o panu lepsze mniemanie. Na pewno był pan w paru muzeach, na pewno naczytał się pan literatury na temat światów, na których istnieją tubylcy - do diabła ciężkiego, czy nigdy nie posługiwał się pan tą swoją logiką?!

Wyciągnął oskarżające palec.

- Niech pan pomyśli - powiedział. - Co myśmy właściwie znaleźli? Kilka kawałków obrobionego kamienia; kilka megalitów, które ewentualnie mogą być sztuczne; zadrapania na skałach, które wydają się przedstawiać zwierzęta i rośliny, choć nie w ten sposób, w jaki przedstawiałyby je jakakolwiek istota ludzka; ślady ognisk i połamane kości; inne fragmenty kostne, które mogą być szczątkami istot myślących, być może pochodzącymi z chwytnych palców lub z czaszek chroniących duże mózgi. Jeśli nawet tak, to właściciele tych kości byli zupełnie niepodobni do człowieka. Lub do aniołów, jeśli już o to chodzi. Zupełnie! Najbardziej antropoidalna z oglądanych przeze mnie rekonstrukcji przedstawiała rodzaj dwunożnego krokodyla.

Chwileczkę, niech mi pan pozwoli skończyć. Kiedy byłem dzieckiem, wierzyłem w te historie o Zewnętrznych. Słyszałem ich całą masę. Opowieści mówiące o tym, że istnieją inne istoty, niektóre skrzydlate, inne nie, niektóre na wpół ludzkie, inne wyglądają zupełnie jak my, może są tylko zbyt przystojne na ludzi. To wciąż i od nowa to samo - kraina baśni ze starej Ziemi. Czyż nie?

Kiedyś się tym zainteresowałem i pogrzebałem w mikrofilmach Biblioteki Dziedzictwa, i niech mnie wszyscy diabli, jeżeli nie znalazłem niemal identycznych bajdurzeń, powtarzanych przez chłopców całe wieki przed lotami kosmicznymi.

Nic z tego nie pasuje ani do tych nielicznych reliktyw, jakie mamy, jeżeli są to relikty, ani do prawdy głoszącej, że ład wielkości Arktyki nie może wydać na świat tuzina różnych inteligentnych gatunków, ani wreszcie... do diabła, człowieku, ani do zdrowego rozsądku, który podpowiada, jak powinni zachować się tubylcy, gdy nadlecieli tu ludzie!

Sherrinford skinął głową.

- Tak, oczywiście - powiedział. - Nie jestem jednak tak głęboko jak pan przekonany o tym, że zdrowy rozsądek istot niehumanoidalnych jest taki sam jak nasz. Widziałem zbyt wiele różnic nawet w ramach naszego gatunku. Ale, jasne, pańskie argumenty są bardzo mocne. Tych niewielu znajdujących się na Rolandzie naukowców ma pilniejsze zadania niż tropienie źródeł czegoś, co stanowi, jak pan to ujął, ożywienie średniowiecznych przesądów.

Wziął w obie dłonie główkę fajki i zajrzał do jej maleńkiego wnętrza.

- Być może najbardziej dla mnie interesujące - powiedział miękko - jest to, dlaczego poprzez otchłan wieków, poprzez barierę cywilizacji technicznej z jej zupełnie odmiennym spojrzeniem na świat i całkowitym odcięciem się od tradycji - dlaczego tutejsi twardogłowi, technicznie zorganizowani, dość dobrze wykształceni koloniści wskrzesili z grobu wiarę w Dawny Lud?

- Sądzę, że w końcu - jeżeli uniwersytet wreszcie powoła katedrę psychologii, o której tyle mówią - że ktoś w końcu zajmie się opracowaniem odpowiedzi na pańskie pytanie - powiedział

Dawson nieco załamującym się głosem i przełknął głośno, gdy Sherrinford odpowiedział:

- Proponuję zacząć od razu. Na Ziemi Komisarza Hauncha, gdyż właśnie tam zdarzył się ostatni incydent. Gdzie mógłbym wynająć jakiś pojazd?

- Hmm, to może być dość trudne...

- Dobrze, dobrze... Być może jestem żółtodziobem w tym świecie, jednak swoje wiem. W

społecznościach niezbyt zasobnych w dobra zwykle nieliczni mają ciężki ekwipunek. Ale ponieważ jest on niezbędny, zawsze można go wynająć. Potrzebny mi jest wóz kempingowy z silnikiem poduszkowym, dobry na każdy rodzaj terenu, i chcę również, aby zostało w nim zamontowane przywiezione przeze mnie wyposażenie. Górna część osłony ma być zastąpiona gniazdem działka, obsługiwanego z siedzenia kierowcy. Broń ja dostarczę. Poza moimi własnymi karabinkami i pistoletami udało mi się wypożyczyć trochę broni z arsenału policji w Przystani Bożego Narodzenia.

- Hej, widzę, że pan naprawdę przygotowuje się do wojny z... z mitem?

- Powiedzmy raczej, że w nie tak znów bardzo kosztowny sposób ubezpieczam się przeciwko pewnym niezbyt prawdopodobnym przypadkom. A jeszcze, poza poduszkowcem, czy dałoby się załatwić lekki, przewożony na dachu samolocik do zwiadów?

- Nie. - Tym razem głos Dawsona brzmiał bardziej pewnie niż dotychczas. - To jest szukanie guza. Możemy, gdy prognoza pogody będzie sprzyjająca, przewieźć pana do pańskiej bazy dużym samolotem. Jednak pilot będzie musiał natychmiast wracać, zanim pogoda znów się popsuje.

Meteorologia nie jest zbyt rozwinięta na Rolandzie. Powietrze o tej porze roku jest wyjątkowo zdradliwe, a my nie mamy środków do wyprodukowania samolotu, który wytrzymałby każdą niespodziankę. - Odetchnął głęboko. - Nie ma pan, widzę, pojęcia, jak szybko potrafi uderzyć wir.

Albo jaki grad może nagle runąć z czystego nieba czy też... Jak pan już tam dotrze, lepiej niech pan trzyma się ziemi. - Zawahał się. - To jedna z ważniejszych przyczyn, dla których nasze wiadomości o bezdrożach są tak skąpe, a ich mieszkańcy tak izolowani.

Sherrinford roześmiał się ponuro.

- No cóż, sądzę, że jeśli tam wszystko wygląda, jak przypuszczam, to i tak przez całą drogę będę musiał się czołgać.

- Zmarnuje pan masę czasu - powiedział Dawson. - Nie wspominając o pieniądzach klienta.

Proszę posłuchać, nie mogę panu zabronić ugania się za cieniem, ale...

Dyskusja trwała jeszcze niemal godzinę. Gdy ekran wreszcie pociemniał, Sherrinford podniósł się, przeciągnął i podszedł do Barbro. Jeszcze raz zwróciła uwagę na jego szczególny chód.

Przybył z planety, na której ciężenie było o jedną czwartą większe od ziemskiego, a tutaj nie przekraczało nawet jego połowy. Zadała sobie pytanie, czy Sherrinford miewa sny o lataniu.

- Przepraszam, że tak panią zaniedbałem - powiedział - ale nie oczekiwałem, że dodzwonię się do niego tak szybko. Wcale nie kłamał, mówiąc, jak bardzo jest zajęty. A gdy już się z nim połączyłem, wolałem mu o pani nie przypominać. Z moim projektem może się nie liczyć, może go spokojnie odrzucać jako czeze mrzonki, z których szybko zrezygnuję. Gdyby jednak, obserwując panią, przekonał się, jak bardzo jesteśmy zdecydowani, stałby się zupełnie nieprzystępny, a być może nawet robiłby nam jakieś przeszkody.

- A niby dlaczego miałby się tym przejmować? - spytała z goryczą.

- Strach przed konsekwencjami, tym większy, że się do niego nie przyznaje, tym bardziej przejmujący, że nie dadzą się one przewidzieć. - Wzrok Sherrinforda powędrował ku ekranowi, a stamtąd przez okno ku zorzy, pulsującej wysoko w górze lodowatym błękitem i bielą. - Zauważyła pani chyba, że rozmawiałem z człowiekiem przestraszonym. W głębi duszy pod pozorami szyderstw i konwenansów wierzy w Zewnętrznych. Tak, głęboko w nich wierzy.

Stopy Pasterza Mgły frunęły ponad yerbą, wyprzedzając niesione wiatrem chwastoloty.

Obok niego piętrzył się Nagrim nikor, czarny i niekształtny. Jego wywołujące wstrząsy ziemi cielsko zostawiało za sobą pokos zmiażdżonych roślin. Z tyłu blask kwiatów cierniowca płomiennego przebijał przez mglistą, rozmazaną sylwetkę Morgarela upiora.

Obłoczne Błonia wznosiły się tutaj falą wzgórz i zarośli. Powietrze było spokojne, tylko od czasu do czasu przynosiło przytłumione odległością wycie jakiejś bestii. Było ciemniej niż zwykle na początku zimy, gdyż księżyce stały nisko, a zorza ledwie połyskiwała nad górami na północnym krańcu świata. Jednak dzięki temu gwiazdy, którymi usiane było niebo, lśniły ostro i wyraźnie, a Droga Duchów świeciła wśród nich jak spryskane kroplami rosy listowie głęboko w dole.

- Tam! - ryknął Nagrim. Wszystkie cztery ramiona wskazywały jeden punkt. Grupa weszła właśnie

na szczyt wzgórza. Daleko przed nimi płonęła iskierka światła. - Hoah, hoah! Fdebczemy ich w ziemię od razu czy bofoli rozszarbiemy?

Nic takiego nie zrobimy, zakuty łbie - przemknęła przez ich głowy odpowiedź Morgarela. -

Chyba że nas zaatakują. A nie zrobią tego. jeżeli nie zdradzimy swojej obecności. Według jej rozkazu mamy wysledzić ich zamiary.

- Gr-r-rum-m-m. Znam ich zamiary. Bościnać drzefa, fpić bługi w ziemię, zasiać sfe brzekłęte ziarna. Brzebędzimy ich do gorzkich wód, bo inaczej szybko staną się dla nas za silni.

- Ale nie za silni dla Królowej! - z oburzeniem zaprotestował Pasterz Mgły.

Jednak mają nowe moce. jak się zdaje - przypomniał mu Morgarel. - Musimy ich ostrożnie wybadać.

- Fięc czy możemy na nich ostrożnie nadebnać? - spytał Nagrim. Pytanie wywołało u Pasterza Mgły szeroki uśmiech. Klepnął pokryte łuską plecy.

- Ty lepiej nie mów - powiedział. - Bo mnie bolą uszy. Ani nie myśl, bo ciebie boli głowa.

Dalej, biegniemy!

Trochę spokojniej - zbeształ go Morgarel. - Masz w sobie zbyt wiele życia, synu ludzi.

Pasterz Mgły wykrzywił twarz w stronę upiora. Usłuchał jednak na tyle, żeby zwolnić i wybierać drogę tak osłoniętą, jak tylko było to możliwe.

Gnał przecież z misją od Najczystszej. Miał się dowiedzieć, co tu przywiodło tę parę śmiertelników.

Czyżby szukali tego chłopca, którego ukradł Aych? (Ciągłe jeszcze płakał za matką, ale coraz mniej, .w miarę jak przenikały go cuda Carheddin.) Być może. Statek ptak zostawił ich wraz z pojazdem w opuszczonym teraz obozie, z którego wyruszyli rozszerzającą się spiralą. Gdy jednak w rozsądnej odległości nie znaleźli żadnego śladu dziecka, nie wezwali nikogo, zęby ich odwiózł do domu. I to nie dlatego, że pogoda nie pozwalała przenosić się falom łączności. Nie. Zamiast tego wyruszyli w stronę Gór Księżycowego Rogu. Kurs, jakim zdążali, powiedzie ich obok kilku odosobnionych gospodarstw najeźdźców i dalej, wprost na obszary nie odwiedzane dotychczas przez ich rasę.

A więc nie były to zwyczajne poszukiwania. A więc co to było?

Pasterz Mgły rozumiał teraz, dlaczego ta, która panowała, kazała swym adoptowanym śmiertelnym dzieciom poznawać czy też zachowywać język swych przodków. Nienawidził tych ćwiczeń, tak obcych obyczajom Mieszkańców, lecz oczywiście był jej posłuszny. I z czasem zrozumiał, jak była mądra...

Teraz pozostawił Nagrima za skałą - nikor byłby użyteczny tylko w walce - i poczołgał się od krzaka do krzaka, aż znalazł się przy ludziach, w odległości nie większej niż wzrost człowieka.

Deszczorost, kładąc miękkie liście na jego nagiej skórze, odział go w ciemność. Morgarel poszybował ku koronie trzęsoliścia, w którego niespokojnej ruchliwości lepiej mógł ukryć swą nikłą sylwetkę. On również będzie niezbyt pomocny. I to właśnie było w tym wszystkim najbardziej niepokojące. Upiory należą do tych, którzy potrafią nie tylko czytać i wysyłać myśli, ale również tworzyć omamy. Morgarel powiedział, że tym razem jego moc zdaje się odbijać od zimnego, niewidzialnego muru, otaczającego samochód.

Kobieta i mężczyzna nie ustawili żadnych innych urządzeń strażniczych i nie mieli psów.

Najpewniej sądzili, że nic takiego nie będzie potrzebne, gdyż spali w długim pojeździe, którym podróżowali. Ale takie lekceważenie potęgi Królowej nie może być tolerowane, nieprawdaż?

Metal połyskiwał delikatnie w świetle ich ogniska. Usiedli po obu stronach ognia, owinięci w palta dla ochrony przed chłodem, który nagiemu Pasterzowi Mgły wydawał się łagodny. Mężczyzna pił dym. Kobieta patrzyła nieruchomo w zmierzch, który jej oślepianym płomieniami oczom musiał

się wydawać głęboką ciemnością. Tańcząca poświata wyraźnie wydobywała z mroku jej sylwetkę.

Tak, sądząc z opowieści Ayocha, ona była matką tego nowego malca.

Ayoch również chciał z nimi pójść, ale Cudowna zabroniła. Puki są za mało wytrwałe jak na potrzeby takich misji.

Mężczyzna pociągnął fajkę. Jego policzki cofnęły się przez to w cień, podczas gdy na czole i nosie migotało światło. Wyglądał niepokojąco podobnie do brzytwodzioba, który ma właśnie runąć na ofiarę.

- Nie, powtarzam ci jeszcze raz, Barbro, nie mam żadnych teorii - mówił. - Kiedy ilość faktów jest niewystarczająca, teoretyzowanie jest śmieszne w najlepszym przypadku, a sprowadzające na manowce w najgorszym.

- Jednak masz chyba jakiś plan, coś, czym się kierujesz - powiedziała. Było oczywiste, że już wcześniej niejednokrotnie to roztrząsali. Żaden Mieszkaniec nie byłby tak natarczywy jak ona ani tak cierpliwy jak on. - Te instrumenty, które zapakowałeś, ten generator, który ciągle utrzymujesz w ruchu...

- Mam jedną czy dwie hipotezy robocze i one mi podpowiedziały, jakie wyposażenie powinienem zabrać.

- Dlaczego mi nie powiesz, co to za hipotezy?

- Z nich samych wynika, że obecnie to by było niewskazane. Ciągle jeszcze szukam po omacku drogi w labiryncie. Ale nie miałem okazji poskładać wszystkiego w całość. W

rzeczywistości naprawdę zabezpieczeni jesteśmy tylko przed tak zwanym wpływem telepatycznym...

- Co? - Niemal podskoczyła. - Chcesz powiedzieć... te legendy, że oni potrafią również czytać

myśli... - Słowa zamarły jej na ustach, wzrok przeszukał ciemność poza jego ramionami.

Mężczyzna pochylił się do przodu. Ton jego głosu stał się miękki i przekonujący.

- Barbro, zamęczasz się, rozdzierasz rany. To wcale nie pomoże Jimmiemu, jeśli żyje. Tym bardziej że możesz być jeszcze bardzo potrzebna, później. Mamy przed sobą długą wędrówkę, więc lepiej weź się w garść.

Skinęła szybko głową i zagryzła na moment wargę. Potem odpowiedziała:

- Próbuję.

Uśmiechnął się, nie wyjmując fajki z ust.

- Myślę, że ci się uda. Nie robisz na mnie wrażenia straceńca ani jęczyduszy czy też kogoś napawającego się swym nieszczęściem.

Jej dłoń opadła ku kolbie pistoletu przy pasie. Głos się zmienił, wydobywała go z gardła jak nóż z pochwy:

- Kiedy ich znajdziemy, dowiedzą się, jaka jestem. Jacy są ludzie.

- Gniew także powściągnij - nalegał mężczyzna. - Nie stać nas na emocje. Przecież Zewnętrzni, jeżeli rzeczywiście istnieją, jak to tymczasowo zakładam, walczą o swoje domy. - I po krótkiej przerwie dodał: - Chciałbym wierzyć, że gdyby pierwsi zwiadowcy znaleźli tu inteligentnych tubylców, kolonizacja Rolanda nie zostałaby podjęta. Ale teraz jest już za późno. Nie możemy tego cofnąć, nawet gdybyśmy chcieli. To walka do końca, z wrogiem tak zręcznym, że udało mu się ukryć przed nami nawet fakt, że wypowiedział nam wojnę.

- A zrobił to? Przecież podkradanie się, przypadkowe porywanie dzieci...

- To część mojej hipotezy. Podejrzewam, że to wcale nie jest zwykłe nękanie nas, to część taktyki, stosowanej w zatrwająco subtelnej grze strategicznej.

Ogień trząsał i sypał iskrami. Mężczyzna palił przez chwilę w zamyśleniu, a potem ciągnął

dalej:

- Wtedy w Przystani Bożego Narodzenia, a potem w Portolondonie, gdy musiałaś na mnie czekać, nie chciałem rozbudzać w tobie zbyt wielu nadziei ani też niepotrzebnie cię ekscytować.

Później byliśmy zajęci upewnianiem się, że Jimmy został uprowadzony na większą odległość od obozu, niż zdołałby przejść o własnych siłach, więc dopiero teraz mogę ci powiedzieć, jak starannie przestudiowałem dostępne materiały na temat... Dawnego Ludu. Robiłem to przede wszystkim z myślą o weryfikacji i wyeliminowaniu każdej wyobraźalnej możliwości, bez względu na jej absurdalność. Nie oczekiwałem innego końcowego wyniku niż negatywny. Przejrzałem jednak wszystko: relikty, analizy, opowieści, dziennikarskie podsumowania, monografie. Rozmawiałem z

będącymi akurat w mieście pionierami i z tą garstką naukowców, która interesowała się tym zagadnieniem. Ja się szybko uczę. Pochlebiam sobie, że stałem się ekspertem nie gorszym niż każdy inny - chociaż Bóg jeden wie, że nie ma tu właściwie od czego być ekspertem. Jestem stosunkowo obcy na Rolandzie i być może dzięki temu spojrzałem na ten problem świeżymi oczyma, i zauważyłem w nim pewne prawidłowości.

Jeżeli aborygeni wymarli, dlaczego tak niewiele po sobie zostawili? Arktyka nie jest znów taka ogromna i stanowi doskonałą kolebkę dla rolandyjskiego życia. Powinna była stać się podstawą istnienia populacji, której pozostałości gromadziły się przez tysiąclecia. Czytałem, że na Ziemi znaleziono, bardziej przypadkowo niż na skutek badań archeologicznych, dosłownie dziesiątki tysięcy paleolitycznych toporków.

No i właśnie - kontynuował. - Przypuśćmy, że relikty i skamieniałości zostały świadomie usunięte w czasie, który upłynął między wizytą ostatniej grupy zwiadowczej a przybyciem pierwszych osadników. Pewne potwierdzenie tej hipotezy znalazłem w dziennikach pierwszych badaczy Rolanda. Byli zbyt zajęci sprawdzaniem, czy planeta nadaje się do zamieszkania, by sporządzać katalogi pomników prymitywu. Jednakże pewne ich zapiski świadczą o tym, że widzieli znacznie więcej niż grupy, które przybyły po nich. Przypuśćmy, że to, co jednak znaleźliśmy, owi zacieracze śladów po prostu przeoczyli bądź się do tego nie dobrali. Świadczy to o skomplikowanej umysłowości, o zdolności do myślenia w kategoriach długoterminowych, prawda? A to z kolei dowodzi, że Dawny Lud to nie byli zwykli myśliwi i neolityczni rolnicy.

- A jednak nikt nigdy nie widział budynków czy maszyn ani w ogóle niczego takiego - sprzeciwiła się Barbro.

- Nie. Najprawdopodobniej tubylcy nie przeszli przez nasz metalurgiczno-przemysłowy rodzaj ewolucji. Potrafię wyobrazić sobie inne, alternatywne drogi rozwoju. Ich w pełni dojrzała cywilizacja mogła wziąć początek od nauk i technologii biologicznych - rozpocząć od nich, a nie na nich kończyć. Mogła rozwijać potencjał tkwiący w systemie nerwowym, a u nich może być on większy niż u człowieka. Wiesz chyba, że również my w pewnym stopniu posiadamy te zdolności.

Na przykład różdżkarz rzeczywiście wyczuwa zmiany lokalnego pola magnetycznego, spowodowane ciekami wodnymi. Jednak w nas te moce są szalenie rzadkie i niestałe. Skierowaliśmy więc swą uwagę w inną stronę. Komu potrzebna jest, powiedzmy, telepatia, jeżeli ma pod ręką wizjofon? Dawny Lud mógł to widzieć zupełnie inaczej. Wytwory ich cywilizacji mogły i dalej mogą być dla nas ludzi nierozpoznawalne.

- Jednak przecież nie musieli się przed nami ukrywać - powiedziała Barbro. - Dlaczego się nie ujawnili?

- Mogę sobie wyobrazić dowolną ilość powodów. Na przykład, już wcześniej w swej historii mieli złe doświadczenia z gośćmi z kosmosu. Nasza rasa nie jest jedyną, która ma statki międzygwiazdne. Jednakże, jak już powiedziałem, nie mam zwyczaju teoretyzować bez pokrycia w faktach. Wystarczy, że stwierdzimy, iż Dawny Lud, jeżeli istnieje, jest dla nas obcy.

- Jak na posiadacza tak logicznego umysłu, nici wniosków, które snujesz, są bardzo cieniutkie.

- Przyznałem przecież, że to wszystko prowizorka. - Mrużąc oczy popatrzył na nią poprzez zasłonę dymu z ogniska. - Przyszedł do mnie, Barbro, utrzymując wbrew temu, co twierdziły czynniki oficjalne, że twój syn został porwany. Ale ta twoja historia o porywającej dzieci sekcje jest wręcz śmieszna. Dlaczego więc tak ciężko ci uznać, że niehumanoidy istnieją?

- I to mimo tego, że od ich istnienia zależy życie Jimmiego - westchnęła. - Wiem. - Wzruszyła ramionami. - Być może po prostu nie mam na to dość odwagi.

- Dotychczas nie powiedziałem niczego, co nie było już przedmiotem spekulacji w różnych publikacjach. Dyskredytujących spekulacji, to prawda. Przez sto lat nikomu nie udało się znaleźć niepodważalnego dowodu na to, że Zewnętrzni są czymś więcej niż tylko przesądem. Mimo to kilku ludzi odważyło się stwierdzić, że jest co najmniej prawdopodobne, iż na nie zbadanych dotychczas obszarach żyją inteligentni tubylcy.

- Wiem - powtórzyła. - Nie wiem jednak, co spowodowało, że tak nagle zacząłeś brać te argumenty poważnie.

- No cóż, gdy zmusiłaś mnie do myślenia nad tym, zrozumiałem, że rolandyjscy pionierzy nie są całkowicie izolowanymi średniowiecznymi chłopami. Mają książki, łączność telekomunikacyjną, narzędzia elektryczne, pojazdy mechaniczne, a przede wszystkim dysponują nowoczesnym, opartym na solidnych naukowych podstawach wykształceniem. Dlaczego mieliby w takim razie ulegać przesądom? Musi być jakaś tego przyczyna. - Przerwał. - Lepiej będzie, jeśli już nic więcej nie powiem. W swoich teoriach posuwam się jeszcze dalej, ale jeśli są one słuszne, niebezpiecznie jest głośno je wypowiadać.

Mięśnie Pasterza Mgły stężały. W szablodziobej głowie czaiło się niebezpieczeństwo, to pewne. Nosząca Wieniec musi zostać ostrzeżona. Przez chwilę zastanawiał się nad tym, czy nie wezwać Nagrima, żeby zabił tych dwoje. Jeżeli nikor skoczyłby na nich dostatecznie szybko, ich broń palna nie na wiele by się zdała. Jednak nie. Mogli zostawić jakąś wiadomość w domu lub...

Znowu nastawił uszu. Rozmowa zeszła na inne tematy. Barbro mruczała: "...to dlaczego zostałeś na Rolandzie?"

Mężczyzna uśmiechnął się w swój ponury sposób.

- No cóż, życie na Beowulfie nie stanowiło już dla mnie wyzwania. Heorot jest lub był -

przecież upłynęły już dziesięciolecia - gęsto zaludniony, sprawnie zorganizowany, zuniformizowany i śmiertelnie nudny. Stało się tak częściowo dlatego, że istniał zawór bezpieczeństwa - nizinne pogranicze, na które uciekali niezadowoleni. Ja jednak nie miałem dostatecznie dużej tolerancji na dwutlenek węgla, bym mógł tam w dole normalnie żyć. Przygotowywano ekspedycję mającą odwiedzić kilka skolonizowanych światów, szczególnie tych, które nie miały dostatecznego wyposażenia, żeby utrzymać więź laserową. Przypominasz sobie jej oficjalny cel, zadeklarowany po przybyciu tutaj - poszukiwanie nowych idei dla sztuki, nauk ścisłych, socjologii, filozofii.

Wszystkiego, co może się przydać. Obawiam się, że na Rolandzie znaleźli niewiele rzeczy, które były przydatne dla Beowulfa. Ja jednak, który fuksem dostałem się na ten statek, dostrzegłem w tym świecie perspektywy dla siebie i postanowiłem tutaj założyć swój dom.

- Czy na Beowulfie też byłeś detektywem?

- Tak, w oficjalnej policji. To jest tradycyjne zajęcie w naszej rodzinie.

Być może wzięło się to z krwi Czirokezów, jeśli ta nazwa coś ci mówi, płynącej w naszych żyłach. Utrzymywaliśmy również, że jesteśmy potomkami jednego z pierwszych zarejestrowanych prywatnych detektywów, jeszcze z Ziemi, sprzed lotów kosmicznych. Bez względu na to, ile w tym było prawdy, stwierdziłem, że ten detektyw jest użytecznym modelem. Wiesz, archetypem... -

Mężczyzna zamilkł. W jego rysach odbił się niepokój. - Lepiej chodźmy spać - powiedział. - Rano czeka nas długa droga.

Kobieta omiotła wzrokiem ciemność.

- Tutaj nie ma ranków.

Udali się na spoczynek. Pasterz Mgły podniósł się i ostrożną gimnastyką przywrócił

sprawność swym mięśniom. Przed powrotem do Siostry Lyrth zaryzykował spojrzenie przez szybę pojazdu. Koję były przygotowane, jedna przy drugiej, i ludzie w nich leżeli. Jednak mężczyzna nie dotykał kobiety, chociaż miała atrakcyjne ciało, nic też się między nimi nie zdarzyło, co by sugerowało, że ma zamiar to zrobić.

Okropność, ludzie. Zimni, podobni trupom, i oni mają opanować ten piękny, dziki świat?

Pasterz Mgły splunął z niesmakiem. To się nie uda. Ta, która panuje, obiecała.

Ziemia Williama Ironsa były niezmiernie rozległe. Musiały być, gdyż chcąc utrzymać siebie, swoją rodzinę i zwierzęta przy pomocy lokalnych zbóż, których uprawa opanowana była jeszcze ciągle w niewielkim stopniu, potrzebował włości iście magnackich. Latem, a także w cieplarni hodował również kilka gatunków ziemskich roślin. Ale to był luksus. Prawdziwy podbój Arktyki opierał się na sianie z yerby, drewnie bathyrhizy, na pericoupie i glycophyllonie. A gdy rynek rozrósł

się wraz ze wzrostem populacji i przemysłu, także na chalcantemum dla miejskich kwiaciarzy i skórek bezdomników, hodowanych w klatkach, dla miejskich kuśnierzy.

Jednak ten podbój miał się ostatecznie dokonać w przyszłości, której Irons nie spodziewał się dożyć. Sherrinford zastanawiał się, czy według Ironsa ktokolwiek jej dożyje.

Pokój był jasny i ciepły. Na kominku trzaskała wesołość. Światło fluoropaneli odbijało się od powierzchni ręcznie rzeźbionych skrzyń, krzesel i stołów, od kolorowych draperii i ustawionych na półkach naczyń. Pionier siedział mocno w swym wysokim krześle, zgrzebnie ubrany, z brodą spływającą na piersi. Jego żona i córki przyniosły dla niego, dla gości i dla jego synów kawę, której

aromat zmieszał się z zalegającymi w powietrzu zapachami pozostałymi po obfitym obiedzie.

Na zewnątrz hulał wicher, waliły pioruny, deszcz dudnił o dach i ściany i strugami spływał w dół, by wić się wśród bruku podwórza. Szopy i stodoły przykucnęły na tle ogromu ciemniejszego za nimi. Drzewa jęczały; czyżby to echo złośliwego śmiechu przebito się przez ryk strwożonej krowy?

Fala gradu uderzyła w dachówki jak setki pukających palców.

Teraz czujesz wyraźnie, jak daleko są twoi sąsiedzi - pomyślał Sherrinford. - A mimo tego są to ludzie, których widzisz najczęściej - na ekranie wizjofonu, przy okazji załatwiania codziennych interesów (wtedy gdy burze słoneczne nie zmieniają ich głosów w bełkot, a ich twarze w chaos), albo żywych, przy okazji przyjęć, plotek i intryg, na ślubach we własnym gronie, i w końcu to będą ludzie, którzy cię pochowają. Światła nadbrzeżnych miast leżą nieskończenie dalej.

William Irons był silnym człowiekiem. Jednak gdy teraz przemówił, w jego głosie pobrzmiwał strach.

- Wy naprawdę idziecie przez Urwisko Trolli?

- Ma pan na myśli Uskok Hansteina? - powiedział Sherrinford i było to bardziej wyzwanie niż pytanie.

- Żaden pionier nie nazywa tego inaczej niż Urwisko Trolli - powiedziała Barbro.

Jak mogła się odrodzić tego typu nazwa, lata świetlne i stulecia od ziemskich Wieków Ciemnoty?

- Myśliwi, traperzy, poszukiwacze kruszców - pogranicznicy, jak ich nazywacie - wyprawiają się w te góry - stwierdził Sherrinford.

- W pewne ich części - powiedział Irons. - Wolno to robić, według umowy zawartej kiedyś między Królową a człowiekiem, gdy człowiek pomógł Jasiowi-spod-wzgórza, którego zranił szatan.

Gdzie rośnie plumablanca, tam ludzie mogą chodzić, pod warunkiem, że zostawią swoje rzeczy na kamieniach-ołtarzach jako zapłatę za to, co stamtąd zabiorą. Gdzie indziej... - jedna z pięści zacisnęła się na oparciu fotela, potem znów rozluźniła - niemądrze jest chodzić.

- A jednak ludzie tam chodzili, prawda?

- O, tak. I niektórzy wrócili cało, przynajmniej tak się mówi, chociaż słyszałem, że potem już nigdy nie byli szczęśliwi. A inni nie wrócili, zniknęli. A niektórzy z tych, co wrócili, pletli o cudach i strachach i zostali półgłówkami do końca swych dni. Mało komu dane było długo popisywać się odwagą, łamać umowę i naruszać granice. - Irons spojrział na Barbro niemal z groźbą w oczach. Jego kobieta i dzieci spojrzeli podobnie, nagle znieruchomiali. Wiatr gwizdał za ścianami i stukał

osłonami przeciwburzowymi. - Wy też nie bądźcie głupi.

- Mam powody sądzić, że tam jest mój syn - odpowiedziała Barbro.

- Tak, tak, mówiła pani. Przykro mi. Może coś dałoby się zrobić. Nie wiem co, ale chętnie, och, złożyłbym tej zimy podwójną ofiarę na Kurhanie Unvara i modlitwę, wyciętą krzemiennym nożem w darni. Może go zwróca. - Irons westchnął. - Jednak jak pamięć sięga, nigdy tego nie zrobili.

Ale chłopakowi mógł przypaść gorszy los w udziale. Czasem ich widywałem, jak gnali wśród zmierzchu na złamanie karku. Wydawali się szczęśliwsi niż my. Może to żadna przysługa zabierać chłopca z powrotem do domu.

- Jak w pieśni o Arvidzie - powiedziała jego żona. Irons skinął głową.

- Aha. I w innych.

- Co to za pieśń? - spytał Sherrinford.

Dotkliwiej niż przedtem poczuł, że jest tu obcy. Był dzieckiem miast i techniki, a przede wszystkim dzieckiem sceptycznego umysłu. Ta rodzina wierzyła. Z niepokojem dostrzegł w powolnym skinieniu głowy Barbro coś więcej niż tylko cień ich wiary.

- Mamy taką samą balladę na Ziemi Olgi Ivanoff - powiedziała, a jej głos był mniej spokojny niż słowa. - To jedna z tradycyjnych pieśni, śpiewanych w czasie tańca w kole na łące. Nikt nie wie, kto je skomponował.

- Zauważyłam multilirę w pani bagażu, pani Cullen - powiedziała żona Ironsa. Najwyraźniej chciała zmienić temat, zakończyć grożącą wybuchem rozmowę o wyprawie, która stanowiła wyzwanie dla Dawnego Ludu. Pieśni mogły w tym pomóc. - Czy zechciałyby nam pani zaśpiewać?

Barbro, blada i niespokojna, potrząsnęła głową. Najstarszy z chłopców powiedział szybko:

- No cóż, to ja mogę, jeśli goście zechcą posłuchać.

- Z przyjemnością, dziękuję. - Sherrinford oparł się wygodnie i zaczął nabijać fajkę. Jeśli nie wyniknęłoby to spontanicznie, sam doprowadziłby do podobnego zakończenia tej rozmowy.

W przeszłości nie miał motywacji do studiów nad folklorem bezdroży, i odkąd Barbro przyszła do niego ze swym kłopotem, udało mu się przeczytać zaledwie nieliczne wzmianki na ten temat. Jednak coraz bardziej nabierał przekonania, że musi dokładnie zrozumieć - nie przez studia etnograficzne, ale przez zrozumienie instynktowne, wczucie się - wzajemne stosunki między mieszkańcami rolandyjskich pograniczy a istotami, które ich nawiedzały.

Nastąpiła krzątanina, przestawianie-krzesel, sadowienie się; filiżanki zostały znów napełnione kawą, zaproponowano brandy.

- Ostatnia linijka jest refrenem - wyjaśnił chłopak. - Wszyscy się włączają, dobrze?

On również wyraźnie miał nadzieję rozładować w ten sposób napięcie. Katharsis przez muzykę? - zastanowił się Sherrinford. - Nie, raczej egzorcyzm.

Jedna z dziewcząt uderzyła w struny gitary. Chłopiec śpiewał w takt melodii przebijającej się przez hałas burzy.

Do domu wracał Arvid,

Wśród wzgórz szlak jego biegi,

Przez cienie trzęsolisci.

Wzdłuż brzegów rwących rzek.

Pod cierniowcem taniec się wije.

Wiatr nocy szeptał wokół,

Zapachy kwiatów niosąc.

Księżycy stały nad nim,

Wzgórza błyszczwały rosą.

Pod cierniowcem taniec się wije.

I marząc o kobiecie,

Co w słońcu go czekała,

Stanął olśniony zorzą

I dusza w nim załkała.

Pod cierniowcem taniec się wije.

Bo przed nim, przy kurhanie.

Co w niebo wznosił ziemię

Blask złoty, kryształowy -

Zewnętrznych w tańcu plemię.

Pod cierniowcem taniec się wije.

'Zewnętrznych tańczy plemię

Płomieniem, wiatrem, tęczę,

Przy mroźnych dźwiękach harfy.

I nigdy się nie zmęczą.

Pod cierniowcem taniec się wije.

Podeszła do Arvida

Ze światłem gwiazd we wzroku.

Tańczących zostawiając.

Pani Powietrza i Mroku.

Pod cierniowcem taniec się wije.

Z miłością, strachem, blaskiem

W jej nieśmiertelnym oku

Rzekła cicho do niego...

- Nie - Barbro zerwała się z krzesła. Pięści miała zaciśnięte, po policzkach płynęły jej łzy. -

Nie możecie... udawać, że oni są tacy... te stwory, które ukradły Jimmiego!

Uciekła z pokoju na górę, do gościnnej sypialni.

Jednak sama dokończyła tę pieśń. Było to niemal siedemdziesiąt godzin później, w obozie wśród urwisk, gdzie nawet pogranicznicy nie ośmielali się zapuszczać.

Niewiele już słów zamienili z rodziną Ironsów po tym, jak oboje odrzucili wielokrotnie powtarzane prośby o zostawienie zakazanej krainy w spokoju. Milczeli też przez pierwsze godziny swej podróży na północ. Jednak powoli udało mu się ją skłonić, by opowiedziała mu o swym życiu.

Po chwili, pogrążona we wspomnieniach o rodzinnym domu, sąsiadach, niemal zapomniała o rozpacz. Wreszcie spostrzegła, że on, pod swą profesjonalną maską, jest smakoszem, wielbicielem opery i że docenia jej kobiecość. Zauważyła, że i ona potrafi się jeszcze śmiać i odnajdować piękno w dzikim krajobrazie wokół nich. Niemal z poczuciem winy zdała sobie sprawę, że życie niesie więcej nadziei niż tylko ta na odzyskanie syna, którego dał jej Tim.

- Ostatecznie utwierdziłem się w przekonaniu, że on żyje - powiedział detektyw. Spoważniał.

- Prawdę mówiąc zaczynam żałować, że zabrałem cię ze sobą. Myślałem, że ta wyprawa będzie zwykłym zbieraniem faktów, a chyba przeradza się w coś znacznie poważniejszego. Jeżeli to żywe istoty ukradły Jimmiego, spotkanie z nimi może się okazać naprawdę niebezpieczne. Powiniennem chyba zawrócić ku najbliższemu gospodarstwu i wezwać samolot, aby cię stąd zabrał.

- Kaktus mi na dłoni wyrośnie, jak to zrobisz - odpowiedziała. - Potrzebny ci jest ktoś, kto zna

panujące na bezdrożach warunki. A ja jestem w tej roli lepsza niż ktokolwiek inny.

- Hmm... Wiązałoby się to również ze znaczną stratą czasu, prawda? A poza tym nawiązanie łączności z jakimkolwiek lotniskiem możliwe będzie dopiero po uspokojeniu się obecnego wybuchu promieniowania.

Następnej "nocy" rozpakował i zamontował resztę swego sprzętu. Niektóre przedmioty, jak detektor termiczny, udało jej się rozpoznać. Inne, zmontowane pod jego nadzorem kopie nowoczesnych urządzeń z Beowulfa, były jej zupełnie nieznane. Niewiele na ich temat powiedział.

- Wyjaśniłem ci już, że istoty, których szukamy, mogą posiadać zdolności telepatyczne -

dodał tonem usprawiedliwienia. Jej oczy rozszerzyły się.

- Chcesz powiedzieć, że Królowa i jej poddani naprawdę mogą czytać myśli?

- To jeden z powodów przerażenia, jakie budzi legenda o nich, prawda? W rzeczywistości w tym zjawisku nie ma nic nadnaturalnego. Było ono badane i zupełnie nieźle opisane już wieki temu, na Ziemi. Przypuszczam, że te opisy znajdują się wśród naukowych mikrofilmów w Przystani Bożego Narodzenia. Wy, rolandyjczycy, nie mieliście po prostu okazji ich odszukać, podobnie jak nie mieliście jeszcze okazji przestudiować zasad budowy przekaźników falowych czy statków kosmicznych.

- No więc jak ta telepatia działa?

Sherrinford zauważył, że pytanie zostało zadane w równym stopniu dla podniesienia się na duchu, co z ciekawości. Odpowiedział więc rozmyślnie sucho i konkretnie:

- Organizm generuje niezmiernie długofalowe promieniowanie, które teoretycznie może być modulowane przez system nerwowy. Niewielka moc tych sygnałów oraz ich niska zdolność do przenoszenia informacji powodują, że w praktyce są one ulotne, trudne do wychwycenia i poddania pomiarom. Nasi praludzy przodkowie oparli się na bardziej niezawodnych zmysłach, jak słuch i wzrok. Ta emanacja telepatyczna, którą w tej chwili wysyłamy, jest w najlepszym razie szczątkowa.

Ekspedycje badawcze natknęły się jednak na pozaziemskie gatunki, które lepiej przystosowały się do swych konkretnych środowisk właśnie poprzez rozwinięcie tych zdolności.

Wśród tych gatunków znajdują się zapewne również takie, które stosunkowo rzadko poddają się bezpośredniemu napromieniowaniu słonecznemu - w rzeczywistości kryją się przed światłem dnia.

Mogłyby one rozwinąć zdolności telepatyczne w takim stopniu, że byłyby w stanie wychwytywać z niewielkich odległości nawet tak słabą emisję jak ludzka i zmuszać nasz prymitywny aparat odbiorczy do reagowania, zgodnego z tym, co same przesyłają.

- To by wiele tłumaczyło, prawda? - powiedziała Barbro cicho.

- Osłoniłem nasz samochód polem zagłuszającym - poinformował ją Sherrinford - jednak sięga ono

tylko kilka metrów poza karoserię. Gdybyś znalazła się poza osłoną, a w pobliżu byłby jakiś ich zwiadowca, mógłby odczytać twoje myśli. A jeśli byś dokładnie wiedziała, co mam zamiar zrobić, mogłoby zostać w ten sposób ostrzeżeni. Ja mam dobrze wytrenowaną podświadomość, która czuwa, bym myślał o tym po francusku, kiedy jestem na zewnątrz. Przesyłane myśli muszą mieć określoną strukturę, aby były zrozumiane, a struktura języka francuskiego wystarczająco się różni od struktury angielskiego. A ponieważ angielski jest jedynym językiem używanym tutaj przez ludzi.

Dawny Lud na pewno nauczył się właśnie angielskiego.

Skinęła głową. Wyłożył jej swój ogólny plan, który był na tyle oczywisty, że i tak nie można go było ukryć. Główna trudność polegała na nawiązaniu kontaktu z obcymi, oczywiście o ile oni istnieli. Dotychczas byli widywani tylko przez jednego lub najwyżej kilku traperów naraz, i to dość rzadko. Niewątpliwie pomagała im w tym zdolność wywoływania halucynacji. Trzymaliby się z daleka od każdej dużej, prawdopodobnie nie dającej się objąć kontrolą ekspedycji, jaka trafiłaby na ich terytorium. Jednak dwoje ludzi, którzy odważyli się naruszyć wszelkie zakazy, nie powinno wydać im się na tyle poważnym zagrożeniem, żeby ich mieli unikać. A... to będzie pierwsza grupa, która nie tylko działa z założeniem, że Zewnętrzni istnieją, ale również jest wyposażona w wytwory nowoczesnej, inoplanetarnej techniki policyjnej.

W tym obozowisku nic się nie zdarzyło. Sherrinford powiedział, że wcale nie oczekiwał, iż coś się zdarzy. Tutaj, tak blisko osad ludzkich. Dawny Lud wydawał się szczególnie ostrożny. W

swej własnej krainie pewnie będą odważniejsi.

W ciągu następnej "nocy" ich pojazd wjechał dość głęboko w tę krainę. Na jakiejś łące Sherrinford wyłączył silniki i pojazd opadł na ziemię. Cisza napłynęła ku nim jak fala.

Wyszli na zewnątrz. Ona ugotowała na promienniku posiłek, podczas gdy on zbierał drewno na ognisko, przy którym później będą mogli się ogrzać. Od czasu do czasu spoglądał na przegub ręki

- lecz nie na zegarek. Zamiast zegarka nosił na przegubie niewielki przyrząd, kontrolujący drogą radiową wszystko, co było zarejestrowane przez instrumenty w samochodzie.

Kto mógłby tutaj potrzebować zegarka?

Konstelacje powoli obracały się poza połyskującą zorzą. Księżyc Alde stał ponad ośnieżonym szczytem, zalewając go srebrem. Resztę gór krył tłoczący się wokół las. Drzewa w nim były to głównie trzęsoliść i pierzastoblada plumablanca, jak duch bielejąca wśród cieni. Kilka cierniowców płomiennych jarzyło się jak grona przyćmionych latarni. Poszycie było ciężkie i słodko pachniało. Poprzez błękitny półmrok widziało się zaskakująco daleko. Gdzieś w pobliżu zaszemrał

strumyk i ptak zagwizdał głosem fletu.

- Pięknie tutaj - powiedział Sherrinford. Wstali już od kolacji, lecz jeszcze nie zdążyli rozpalić ogniska ani usiąść ponownie.

- Ale obco - równie cicho odpowiedziała Barbro. - Zastanawiam się, czy ten świat jest rzeczywiście

dla nas. Czy możemy mieć nadzieję, że go posiadziemy.

Ustnikiem fajki wskazał gwiazdy.

- Człowiek dotarł do dziwniejszych miejsc niż to.

- Naprawdę? Ja... och, to pewnie ślady mego dzieciństwa na bezdrożach, ale wiesz, kiedy widzę nad sobą gwiazdy, świecące tak jasno, nie mogę o nich myśleć jak o kulach gazu, których energia została zmierzona i opisana, których planety deptały najzwyczajniejsze stopy. Nie, one są małe i zimne, i magiczne. Nasze życie jest z nimi związane. A gdy umieramy, szepczą do nas w naszych grobach. - Barbro spuściła wzrok. - Zdaję sobie sprawę, że to idiotyzm.

Widziała poprzez zmierzch jego tężejącą twarz.

- Wcale nie - powiedział. - Z punktu widzenia emocji większym idiotyzmem może być fizyka. W końcu, jak sądzę, po iluś pokoleniach myśl podąży za emocją. W głębi duszy człowiek wcale nie jest racjonalistą. Może przestać wierzyć w teorie naukowe, jeśli przestaną mu się one wydawać właściwe. - Zamilkł na chwilę. - Ta ballada, która nie została dokończona w domu Ironsów

... - powiedział nie patrząc na nią. - Dlaczego ona tak na ciebie podziałała?

- Nie mogłam dłużej słuchać, jak się ich gloryfikuje. Tak to w każdym razie wyglądało.

Przepraszam za zamieszanie.

- Przypuszczam, że ta pieśń jest typowym przykładem pewnego rodzaju ballad.

- No cóż, nigdy mi nie przyszło do głowy, żeby je klasyfikować. Etnografia jest czymś, na co nie mamy na Rolandzie czasu, a właściwie, co jest bliższe prawdy, nawet nie pomyśleliśmy, przy tym nawale innych zadań, aby się nią zająć. Jednak teraz, gdy o tym wspomniałeś, tak, to zaskakujące, jak wiele pieśni i przekazów zawiera motyw Arvida.

- Czy odważyłabyś się wyrecytować tę balladę do końca? Wysiłkiem woli zmusiła się do śmiechu.

- Mogę zrobić nawet więcej, jeśli tego chcesz. Przyniosę multilirę i zaśpiwam.

Opuszczała jednak hipnotyczny refren, poza ostatnią zwrotką. Sherrinford patrzył na nią, jak stoi na tle księżycy i zorzy.

Rzekła cicho do niego

Pani Powietrza i Mroku:

"Odpocznij już, Arvidzie,

Przyjmie cię nasze plemię,

*Nie musisz być człowiekiem,
Zbyt ciężkie jest to brzemię".
Odważy/ się powiedzieć:
"Uciekać od was muszę,
W moim domu czeka dziewczyna,
Co mi odda/a duszę.
Czekają też drzewa
I pracy moc została,
Bo kimże byłby Arvid
Nie trując swego ciała.
Więc użyj swojej magii.
Niech się kamieniem stanę.
Twój gniew mnie może zabić,
Lecz wolnym pozostanę".
Stała, spowita w piękno
I strach, i blask północy,
Pani Powietrza i Mroku.
I musiał spuścić oczy.
A potem się zaśmiała
I wzgardą głos jej brzmiał.
"Nie muszę rzucać czarów,
Byś odtąd zawsze lkał.
Do domu wrócisz z niczym
Oprócz dręczących wspomnień*

*O wietrze i muzyce,
O nocy, mgle i o mnie.
Pójdą za tobą wszędzie,
Dzień każdy zaćmią cieniem
I leżeć z tobą będą,
Gdy zmorzy cię znużenie.
Ból nagły dźgnie cię w serce
I płakać będziesz w głos,
Gdy wspomnisz, jaki jest,
A jaki mógł być los.
Swą tępą, głupią żonę
Co noc w ramiona bierz.
Do domu wracaj, Arvid,
Człowiekiem bądź, jak chcesz!"
Ze śmiechem, migotaniem
Zewnętrznych taniec znikł,
Samotny został Arvid
I łkał po blady świt.
Pod cierniowcem taniec się wije.*

Odłożyła lirę na bok. Liście zaszemrały, poruszone wiatrem. Po długim milczeniu Sherrinford zapytał:

- I takie opowieści są częścią życia każdego mieszkańca bezdroży?

- No cóż, chyba tak - odpowiedziała. - Jednak nie wszystkie są pełne istot nadprzyrodzonych.

Niektóre opowiadają o bohaterstwie i miłości. Tradycyjne tematy.

- Sądzę, że wasz folklor nie narodził się tak po prostu, sam z siebie - powiedział poważnym głosem.

- Wiele z waszych pieśni i opowieści, jak mi się zdaje, nie zostało ułożonych przez istoty ludzkie.

Zamknął gwałtownie usta i już nic więcej na ten temat nie powiedział. Wcześniej poszli spać.

Kilka godzin później poderwało ich buczenie alarmu.

Dźwięk nie był głośny, jednak natychmiast ich. rozbudził. Na wszelki wypadek spali w ubraniach. Poświata nieba oświetliła ich przez przezroczysty dach. Sherrinford zerwał się z koi, wskoczył w buty i przypiął do pasa kaburę z pistoletem.

- Zostajesz tutaj - rozkazał.

- Co się dzieje? - Puls dudnił jej w skroniach. Rzucił okiem na wskaźniki przyrządów i porównał je z kontrolką na swym przegubie.

- Zwierzęta, trzy sztuki - policzył. - Jednak nie dzikie, które przypadkowo tędy przechodzą.

Największe, ciepłokrwiste sądząc z podczerwieni, trzyma się trochę z tyłu. Następne... hmmm, niska temperatura, rozproszona i niestała emisja, jakby było raczej jakimś... jakimś rojem komórek, koordynowanych... zapachowe...? unosi się w powietrzu, też w pewnej odległości. Ale trzecie jest praktycznie tuż przy nas, przemyka się przez krzaki, i jego charakterystyka wygląda na ludzką.

Widziała, jak drżał z niecierpliwości, już nie wyglądając jak profesor.

- Spróbuję go złapać - powiedział. - Gdy będziemy mieli kogo wypytać... - Bądź gotowa szybko mnie wpuścić z powrotem. Ale sama nie wychodź, cokolwiek się zdarzy, i trzymaj palec na spuście - podał jej naładowaną wielkokalibrową strzelbę.

Przystanął przy drzwiach, potem otworzył je gwałtownie. Powietrze z zewnątrz wdarło się do środka, zimne, wilgotne, pełne woni i szmerów. Oliver również już wszedł, dzieląc niebo z Aldo.

Blask obu był nierealnie jaskrawy, a zorza sączyła się bielą i lodowatym błękitem.

Sherrinford znowu spojrział na kontrolkę na przegubie. Musiała wskazywać kierunki, wiodące do tych, którzy stali wśród pstrokatych liści obserwując obóz. Nagle skoczył przed siebie.

Przebiegł obok popiołów ogniska i zniknął pod drzewami. Ręka Barbro stężała na kolbie broni.

Eksplozja hałasu. Dwie sylwetki, szczipione w walce, wypadły na łąkę. Sherrinford zamknął

w uchwycie tego drugiego, niższego, człowieka. W spływającym z góry srebrze i w tęczowych pobłyskach Barbro widziała, że był to mężczyzna, nagi, długowłosa, gibki i młody. Walczył z demoniczną zaciekłością, próbując używać zębów, stóp i długich, zakrzywionych paznokci. Co chwila wył jak szatan.

W nagłym błysku zrozumienia pojęła, kim on jest: odmieńcem, skradzionym w dzieciństwie i wychowanym przez Dawny Lud. Ten stwór jest istotą, w jaką zostałyby zamieniony Jimmy...

- Ha! - Sherrinfordowi udało się odwrócić przeciwnika i wbić usztywnione palce w jego spłot słoneczny. Chłopak zachłysnął się powietrzem i zwiotczał. Detektyw powlókł go w stronę samochodu.

Spośród drzew wynurzył się olbrzym. Sam mógłby być drzewem, czarnym i pomarszczonym, z czterema sękatymi konarami. Ziemia drżała i huczała pod jego nogokorzeniami, ochryply ryk wypełnił niebiosa i czaszki.

Barbro wrzasnęła. Sherrinford błyskawicznie się odwrócił. Wyrwał pistolet z kabury, strzelił i jeszcze raz strzelił - stłumiony trzask bata w półmroku. Wolne ramię trzymało przeciwnika w mocnym uchwycie. Olbrzymi kształt zachwiał się pod ciosami kul, odzyskał jednak równowagę i znów ruszył naprzód, wolniej, ostrożniej, okrążając Sherrinforda, żeby odciąć mu drogę do samochodu. Detektyw nie mógł poruszać się dostatecznie szybko, by tego uniknąć. Musiałby wypuścić swego więźnia - jedyne przewodnika do Jimmiego, na jakiego mogli liczyć...

Barbro wyskoczyła z samochodu.

- Nie! - krzyknął Sherrinford. - Na miłość boską, nie wychodź! Potwór zagrzmiął i wyciągnął łapy w jej stronę. Szarpnęła spust. Odrzut wbił jej kolbę w ramię. Kolos okręcił się i upadł. Zdołał jednak jakoś się dźwignąć i ciężko ruszył w jej stronę. Cofnęła się. Znowu strzeliła, i znowu.

Zacharczał. Krew skapywała z jego cielska i błyszczała oleiście między kroplami rosy. Odwrócił się i odszedł, łamiąc gałęzie, w zalegającą poza drzewami ciemność.

- Schowaj się! - wrzeszczał Sherrinford. - Jesteś poza polem ochronnym!

Nad jej głową przepłynęła mglistość. Niemal w tej samej chwili zobaczyła na skraju polany nową postać.

- Jimmy! - wrzasnęła.

- Mamo! - Wyciągnął ku niej rękę. Światło księżyców skrzyło się w jego łzach.

Odrzuciła broń i pobiegła ku niemu.

Sherrinford skoczył w pogoń. Jimmy cofnął się w krzaki. Barbro wpadła tam za nim, między szponiaste gałązki. Chwilę potem została schwytana i uniesiona w ciemność.

Stojąc nad swym więźniem Sherrinford wzmacniał natężenie fluoro-światła, aż las za oknem przestał być widoczny. Chłopak kręcił się niespokojnie pod tą kaskadą bezbarwnej jasności.

- Będiesz mówił - powiedział mężczyzna spokojnie, mimo surowości malującej się na jego twarzy.

Chłopiec spojrział przez zasłonę splątanych włosów. Na jego szczęce purpurowiało stłuczenie. W

czasie, w którym Sherrinford gonił i utracił kobietę, chłopak niemal odzyskał zdolność do ucieczki. Po powrocie detektyw z trudem go schwycił. Posiłki Zewnętrznych mogły nadejść w każdej chwili, nie było więc czasu bawić się w uprzejmości. Sherrinford uderzył go pięścią i zaciągnął do wnętrza pojazdu. Teraz chłopak siedział, przywiązany do obrotowego fotela.

Splunął.

- Mówił z tobą, błotniaku? - Jednak pot błyszczał mu na skórze i oczy skakały niespokojnie po metalu, który był jego więzieniem.

- Podaj jakieś imię, którym mógłbym cię nazywać.

- Żebyś rzucił na mnie czar?

- Moje brzmi Eryk. Jeśli nie zostawisz mi wyboru, będę musiał cię nazywać... hmmm...

Wilkołak.

- Jak? - Związany, mimo że wyglądał tak dziwnie, był podobny do każdego chłopca w jego wieku. - A więc Pasterz Mgły. - Śpiewny akcent w jego angielskim podkreślał jeszcze zły humor chłopaka. - To tylko znaczenie mego imienia, ale ono nie brzmi w ten sposób. W każdym razie takie jest moje mówione imię, żadne inne.

- Aha, imię, które uważasz za prawdziwe, trzymasz w tajemnicy?

- Nie ja. Ona. Ja sam nie wiem, jakie ono jest. Ale Ona zna prawdziwe imiona wszystkich.

Sherrinford uniósł brwi.

- Ona?

- Ta, która panuje. Niech mi wybaczy, ale nie mogę wykonać gestu szacunku, gdy mam związane ręce. Niektórzy najeźdźcy nazywają ją Królową Powietrza i Mroku.

- Ach tak! - Sherrinford wydobył fajkę i tytoń. Cisza wzbierała, gdy ją zapalał. W końcu powiedział: - Muszę przyznać, że Dawni Ludzie mnie zaskoczyli. Nie spodziewałem się, że w twojej grupie jest istota tak potężna. To, czego się dotychczas dowiedziałem, wskazywało, że oni oddziałują na moją rasę - i twoją również, chłopcze - poprzez kradzieże, podstępny i omamy.

Pasterz Mgły skinął zaczepnie głową.

- Nasza Pani dopiero niedawno stworzyła pierwszych nikorów. Niech pan nie myśli, że ona ma w swym repertuarze tylko ogłupiające sztuczki.

- Nie myślę. Jednak porządna, obleczone w stal kulka też niezłe się sprawia, prawda?

Sherrinford mówił nadal, miękko, głównie do siebie:

- Ciągłe jednak uważam, że, hmm... nikory - i w ogóle wszystkie wasze humanoidy - są po to, żeby je pokazywać, a nie żeby ich używać. Moc tworzenia miraży na pewno jest w dużym stopniu ograniczona, zarówno pod względem zasięgu, jak i ilości osobników, które ją mają. W przeciwnym razie ona nie musiałaby działać tak powoli i delikatnie. Nawet poza naszą tarczą ochronną Barbro, moja towarzyszka, mogła się oprzeć omamowi, mogła pozostać świadoma, że to, co zobaczyła, było nierzeczywiste... gdyby tak bardzo nie uległa emocjom i pragnieniu, gdyby była mniej wzburzona...

Sherrinford otoczył swą głowę obłokiem dymu.

- Nieważne, czego ja doświadczyłem - powiedział. - Nasze odczucia nie mogły być takie same. Myślę, że po prostu wydano nam rozkaz:

"Zobaczcie, jak to, czego najbardziej pragniecie, ucieka przed wami w głąb lasu".

Oczywiście niedaleko zaszła, zanim nikor ją pochwycił, a ja nie mogłem przecież liczyć na to, że uda mi się ich wysledzić, nie jestem arktykańskim traperem, a poza tym łatwo by im było zastawić na mnie pułapkę. Wróciłem do ciebie. - I groźniej: - Jesteś nicią, która mnie zaprowadzi do twej pani.

- Myślisz, że cię zaprowadzę do Starhaven lub Carheddin, błotniaku? Spróbuj mnie zmusić!

- Chcę ubić z tobą interes.

- Podejrzewam, że chce pan czegoś więcej - w odpowiedzi Pasterza Mgły kryła się zaskakująca przenikliwość. - Co im pan powie po powrocie do domu?

- Taak, na tym właśnie polega cały problem, prawda? Barbro Cullen i ja nie jesteśmy zastraszonimi pionierami. Pochodzimy z miasta. Przywieźliśmy ze sobą sprzęt nagrywający.

Będziemy pierwszymi ludźmi, którzy złożą sprawozdanie ze spotkania z Dawnym Ludem i będzie ono szczegółowe i wiarygodne. Wywoła wiele szumu, za którym pójdą działania.

- Więc sam pan widzi, że nie boję się śmierci - oświadczył Pasterz Mgły, choć usta lekko mu drżały.
- Jeżeli dopuszczę pana do mego ludu i pozwolę poddać go pańskim ludzkim praktykom, nie mam po co żyć.

- Nie bój się na zapas - powiedział Sherrinford. - Ty jesteś tylko przynętą.

Usiadł i przyglądał się chłopcu, pozornie chłodny i spokojny. (W środku wszystko w nim wyło: Barbro! Barbro!)

- Zastanów się. Twoja Królowa nie może pozwolić, bym spokojnie wrócił do miasta, przyprowadzając swego więźnia, i opowiadał o tych, których ona więzi. Będzie musiała jakoś temu zaradzić. Mógłbym próbować przedrzeć się siłą - ten pojazd jest lepiej uzbrojony, niż ci się wydaje - ale to nikogo by nie uwolniło, więc zostaję tutaj. Jej nowe oddziały dotrą tu najszybciej, jak zdołają.

Zakładam, że nie rzucą się ślepo na karabin maszynowy, działko i miotacz promieni. Najpierw będą

pertraktować, bez względu na to, czy mają uczciwe zamiary czy nie. I w ten sposób osiągnę swój cel

- uda mi się nawiązać kontakt.

- Co pan zamierza zrobić? - w głosie chłopca kryła się udreka.

- Najpierw to, jako rodzaj zaproszenia - Sherrinford wyciągnął rękę, by pstryknąć wyłącznikiem. - O właśnie. Wyłączyłem pole chroniące przed czytaniem myśli i iluzjami.

Przypuszczam, że przynajmniej przywódcy będą w stanie wyczuć, że już go nie ma. To powinno dać im pewność siebie.

- A teraz?

- Teraz będziemy czekać. Chciałbyś coś zjeść czy się napić? Przez następne kilka godzin Sherrinford starał się zjednać sobie Pasterza Mgły, dowiedzieć się czegoś o jego życiu. Odpowiedzi, które otrzymywał, były lakoniczne. Przygasił światła w samochodzie i usiadł przy szybie wpatrując się w zmrok. To były naprawdę bardzo długie godziny.

Zakończyły się okrzykiem radości, niemal szlochem, który wyrwał się z piersi chłopca. Z

lasu wyszła grupa Dawnych Ludzi.

Niektórzy z nich byli widoczni tak wyraźnie, że mogłoby się zdawać, iż księżycy i gwiazdy zwielokrotniły dla nich swój blask. Ten na czele jechał na białym jeleniu o rogach przybranych girlandami. Miał ludzkie kształty, był jednak nieziemsko piękny; srebrnoblond włosy spływały spod rogatego hełmu, otaczającego dumną, zimną twarz. Płaszcz poruszał się na jego ramionach jak żywe skrzydła. Śnieżnosrebrna zbroja dźwięczała, gdy się zbliżał.

Za nim, z jego lewej i prawej strony, jechali ci, co nieśli miecze, na których ostrzach tańczyły i chwiały się małe płomyki. Ponad nimi skrzydlate stada śmiały się i śpiewnie nawoływały, wywracając koziółki w podmuchach wiatru. Gdzieś z boku unosiła się półprzezroczysta mglistość.

Innym, idącym między drzewami, trudniej się było przyjrzeć. Jednak poruszali się ze srebrnopłynną gracją, w rytm melodii granych na harfach i piszczałkach.

- Lord Luighaid - w głosie Pasterza Mgły brzmiała nabożna cześć. - Jej pan. Posiadający Wiedzę, we własnej osobie.

Sherrinford nigdy nie był w trudniejszej sytuacji niż teraz, kiedy siedział przy pulpicie kontrolnym, z palcem przy guziku uruchamiającym pole ochronne, którego nie uruchamiał. Opuścił

część dachu, aby głosy miały dostęp do wnętrza. Podmuch wiatru uderzył go w twarz, przynosząc zapach róż z ogrodu jego matki. Z tyłu, w głównej części pojazdu. Pasterz Mgły napinał krępujące go więzy, by móc widzieć nadchodzącą grupę.

- Zawołaj do nich - powiedział Sherrinford. - Spytaj, czy będą ze mną rozmawiać. Nieznane,

śpiewnosłodkie słowa przefrunęły tam i z powrotem.

- Tak - przetłumaczył chłopiec. - On będzie mówił. Lord Luighaid. Jednak chcę panu powiedzieć, że oni nigdy stąd pana nie puszcza. Niech pan z nimi nie walczy. Niech się pan ukorzy.

Idzie z nimi. Nie będzie pan wiedział, co to znaczy żyć, dopóki nie zamieszka pan w Carheddin pod górą.

Zewnętrzni podeszli bardzo blisko.

Jimmy zamigotał i zniknął. Barbro leżała w mocnych ramionach, opierając się o szeroką pierś, i czuła ruch konia pod sobą. To musiał być koń, mimo że hodowano ich już bardzo niewiele, do jakichś specjalnych celów lub po prostu z miłości. Czuła poruszanie się mięśni pod skórą, słyszała szelest rozgarnianego listowia i głuchoe stuki, gdy kopyta uderzały o kamienie. Otaczało ją napływając przez ciemność ciepło i zapach żywego stworzenia.

Ten, który ją niósł, powiedział łagodnie:

- Nie bój się, kochana. To był tylko miraż. Ale on na nas czeka i jedziemy do niego.

Zdawała sobie sprawę, w jakiś niewyraźny sposób, że powinna czuć strach lub rozpacz...

Jednak jej wspomnienia pozostały gdzieś za nią - nie była nawet pewna, jak znalazła się tutaj - po prostu ją wieziono i wypełniała ją świadomość, że jest kochana. Spokój, spokój, odpoczywaj w cichym oczekiwaniu na radość...

Chwilę później las się otworzył. Przecięli łąkę, usłaną kamieniami, biało-szarymi w księżycowym świetle. Ponad rosnącymi na wolnych skrawkach ziemi kwiatami tańczyły trzepotki, maleńkie komety. Przed nimi błyszczała góra ze szczytem w koronie z chmur.

Oczy Barbro były skierowane w stronę, w którą jechali. Zobaczyła głowę konia i, spokojnie zaskoczona, pomyślała: To przecież Sambo, którego miałam, gdy byłam dziewczynką. - Spojrzała w górę, na mężczyznę. Miał na sobie czarną tunikę i pelerynę z kapturem, zaciemniającym jego twarz.

Nie mogła głośno krzyknąć, nie tutaj.

- Tim - wyszeptała.

- Tak, Barbro.

- Przecież cię pochowałam...

W jego uśmiechu była nieskończona czułość.

- Czy myślałaś, że jesteśmy tylko tym, co wraca do ziemi? Biedne, rozdarte maleństwo. Ta, która nas wezwała, jest Wszech-uzdrowicielką. Teraz odpoczywaj i śnij.

- Snić - powiedziała i przez moment usiłowała się podnieść. Jednak daremnie. Dlaczego miałyby wierzyć w te martwe opowieści o... o atomach i energiach, z niczym, co by wypełniało obszary pustki... opowieści, których nie mogła sobie przypomnieć... wierzyć teraz, gdy Tim i koń, którego podarował jej ojciec, nieśli ją do Jimmiego? Czy ta inna rzeczywistość nie była tylko złym snem, z którego dopiero teraz po raz pierwszy się budzi?

Mężczyzna obok niej, jakby słysząc jej myśli, powiedział cicho:

- Mają taką pieśń w krainie Zewnętrznych. Pieśń Ludzi:

Świat żegluje

Gnany niewidzialnym wiatrem.

Wokół dziobu wiruje światło.

Przebudzenie jest nocą.

Jednak Mieszkańcy nie znają takiego smutku.

- Nie rozumiem - powiedziała. Skinął głową.

- Jest wiele rzeczy, które będziesz musiała zrozumieć, kochana, i nie zobaczę cię znowu, aż nauczysz się tych prawd. Jednak przez ten czas będziesz z naszym synem.

Próbowała podnieść głowę i pocałować go. Powstrzymał ją.

- Jeszcze nie teraz - powiedział. - Nie zostałam przyjęta do ludu Królowej. Nie powinienem być po ciebie przyjeżdżać, ale ona była zbyt litościwa, by mi zabronić. Odpoczywaj, odpoczywaj.

Czas przepływał obok nich. Koń galopował wytrwale w górę, nie potykając się, nie gubiąc rytmu. W pewnej chwili w oddali zauważyła jadącą w dół grupę i pomyślała, że zdążają oni na ostatnią, rozstrzygającą bitwę przeciwko... komu...? temu, który czekał, owinięty w żelazo i smutek...

Nie teraz, potem zada sobie pytanie o imię człowieka, który przywiózł ją do kraju Dawnych Prawd.

W końcu strzeliste wieże wzniosły się między gwiazdy... gwiazdy, które są małe i magiczne i których szepty kołyszają nas, gdy umrzemy. Wjechali na podwórzec, oświetlony nieruchomymi płomieniami świec, wypełniony pluskiem wody w fontannach i śpiewem ptaków. W powietrzu unosił się zapach broku i pericoupu, a także ruty i róż, bo nie wszystko, co człowiek przyniósł, było okropnością. Mieszkańcy, promieniujący pięknem, czekali, by ją powitać. Z tyłu, za ich wspaniałością, harcowały puki, nurzając się w zmierzchu, dzieci ganiały się wśród drzew, beztroska i radość mieszały się z bardziej już stateczną muzyką.

- Przyjechaliśmy... - głos Tima wydał jej się nagle, niewytłumaczalnie, skrzeczeniem. Barbro nie bardzo wiedziała, w jaki sposób zsiadli z konia. Stała przed nim i widziała, jak on chwieje się na nogach.

Strach ścisnął jej gardło.

- Dobrze się czujesz? - chwyciła jego dłonie.

Były zimne i szorstkie. Gdzie się podział Sambo? Jej oczy przeszukiwały ciemność pod kapturem. Chciała wykorzystać lepsze oświetlenie, żeby wyraźnie zobaczyć twarz mężczyzny.

Jednak była ona zamazana, ciągle się zmieniała.

- Co się stało, och, co się dzieje?!

Uśmiechnął się. Czy to był ten uśmiech, który tak kochała? Nie mogła sobie dokładnie przypomnieć.

- Ja... muszę teraz odejść - wyjąkał tak cicho, że ledwie go słyszała. - Nasz czas jeszcze nie nadszedł.

Wyrwał się z jej uścisku i oparł o zawiniętą w długą szatę postać, która pojawiła się przy jego boku. Ponad ich głowami wirowała mglistość.

- Nie patrz, jak odchodzę... jak wracam do ziemi - w jego głosie było błaganie. - Dla ciebie to śmierć. Aż wróci nasz czas... Spójrz, nasz syn!

Musiała odwrócić wzrok, szybko. Klękając rozłożyła szeroko ręce. Jimmy uderzył w nią jak gorąca, masywna kula armatnia. Mierzwiała mu włosy, całowała wgłębienie pod brodą, śmiała się i płakała, i paplała jak idiotka; i nie był to duch, wspomnienie, które rozpląnęło się, gdy przestała patrzeć. Jej oczy, skupione na szukaniu śladów krzywd, które go mogły spotkać - głodu, choroby, przerażenia - i żadnych nie znajdując, od czasu do czasu chwytaly obrazy tego, co działo się wokół.

Ogrody zniknęły. Ale to było nieważne.

- Tak tęskniłem za tobą, mammo. Zostaniesz?

- Zabiorę cię do domu, najdroższy.

- Zostań. Tu jest przyjemnie. Pokażę ci. Ale ty zostań. Przez półmrok zmierzchu przebiegł

poszept. Barbro wstała. Jimmy przyłgnał do jej ręki. Stali przed Królową.

Bardzo była wysoka w swych szatach utkanych ze światła północy i w swej gwiazdnej koronie, i w girlandach niepocałujek. Jej twarz przywodziła na myśl Wenus z Milo, której zdjęcie Barbro często oglądała w krainach ludzi, była jednak bardziej świetlista i miała w sobie więcej dostojeństwa. Ogrody wokół Królowej znów zbudziły się do istnienia, wraz z nimi pałac Mieszkańców i niebosiężne wieże.

- Bądź pozdrowiona i witaj - przemówiła głosem jak pieśń - już na zawsze.

Przełamując wypełniający ją lęk Barbro powiedziała:

- Matko Księżyców, pozwól nam wrócić do domu.

- To być nie może.

- Do naszego świata, małego i ukochanego - Barbro śniła, że błaga - który zbudowaliśmy dla siebie i hołubimy dla naszych dzieci.

- Do więziennych dni, nocy pełnych gniewu, pracy, która kruszy się w palcach, do miłości obracających się w próchno lub kamień, lub chwastolot, do strat i bólu, i pewności jedynej tego, że koniec będzie tylko nicością. Nie. Również ty, która się staniesz Wędrującą, będziesz się radować, gdy sztandary Pozaświata przybędą z łopotem do ostatniego z miast i człowiek się wreszcie wypełni życiem. Teraz idź z tymi, którzy cię nauczą.

Królowa Powietrza i Mroku wzniosła ramię gestem wezwania. Zawisło w powietrzu, jednak nikt się nie zjawił.

Spoza fontann i muzyki dobiegł złowrogi warkot. Buchnęły ognie, zagrzmiały pioruny.

Tłumy Jej sług pierzchły z krzykiem przed stalową groźbą, z hukiem wjeżdżającą na zbocze góry.

Puki zniknęły w trzepocie przerażonych skrzydeł. Nikory rzucały swe cielska przeciw pseudożywemu najeźdźcy i przepadały, aż ich Matka krzyknęła, aby uciekały.

Barbro przewróciła Jimmiego i zakryła go swoim ciałem. Wieże chwiały się i rozpływały w dymie. Góra stała naga pod mroźnymi księżycami, okryta tylko osypiskiem kamieni, masywnymi głazami i w oddali lodowcem, w którego głębiach pulsowało błękitem światło zorzy. W skalnej ścianie ciemniało wejście do jaskini. Tam kierował się strumień uciekających, szukając schronienia w podziemiach. Niektórzy z nich byli ludźmi z urodzenia, niektórzy groteskowymi stworami, jak upiory, puki czy nikory, jednak większość stanowiły istoty małe i chude, łuskowate, długoogoniaste i długopyskie, w niczym nie przypominające ani ludzi, ani Zewnętrznych.

Przez kilka chwil - nawet gdy Jimmy zanosił się płaczem na jej piersi, być może w równym stopniu dlatego, że czar prysł, jak i dlatego, że Jimmy się bał - Barbro było żal Królowej, stojącej samotnie ze swą nagością. Później również i ta istota uciekła i świat Barbro rozsypał się na kawałki.

Strzały umilkły, pojazd zatrzymał się z chrzęstem. Wyskoczył z niego chłopiec, krzycząc dziko:

- Cieniu Snu, gdzie jesteś?' To ja. Pasterz Mgły! Chodź tutaj, chodź! - aż sobie przypomniał, że język, w którym zostali wychowani, nie był ludzki. Krzyczał więc dalej w tej innej mowie, aż z krzaków, w których dotychczas się chowała, wymknęła się dziewczyna. Patrzyli na siebie poprzez kurz, dym i księżycową poświatę. Pobiegnęła ku niemu.

Z samochodu inny głos zawołał:

- Barbro, szybciej!

Przystani Bożego Narodzenia nieobce było światło dnia, krótkiego o tej porze roku, a jednak:

promienie słońca, błękitne niebo, białe chmury, połyskująca woda, słona bryza na ruchliwych ulicach, i logiczny nieporządek salonu Eryka Sherrinforda.

Siedząc w fotelu krzyżował i rozstawiał swe długie nogi i pykał z fajki, jakby chciał stworzyć zasłonę dymną. Powiedział:

- Jesteś pewna, że już wydobrzałaś? Nie wolno ci ryzykować nadmiernego wysiłku.

- Czuję się znakomicie - odpowiedziała Barbro Cullen, mimo że jej głos był jeszcze słaby i bezdźwięczny. - Tak, jestem wciąż zmęczona. Bez wątplenia widać to po mnie. Nie można przeżyć czegoś takiego i w ciągu tygodnia być z powrotem na nogach. Ale jestem czujna i gotowa. Szczerze powiedziawszy, myślę, że zanim będę mogła całkiem się uspokoić i odzyskać siły, muszę się dokładnie dowiedzieć, co tam zaszło i co się dzieje tutaj. Nie docierają do mnie żadne wiadomości, znikąd.

- Rozmawiałaś o tej sprawie z innymi?

- Nie. Odwiedzającym mówiłam po prostu, że jestem zbyt wyczerpana, aby rozmawiać. To niezupełnie było kłamstwo. Założyłam jednak, że jest jakiś powód dla stosowania tej cenzury.

Sherrinfordowi jakby ulżyło.

- Grzeczna dziewczynka. To ja domagałem się zachowania tajemnicy. Możesz sobie wyobrazić, jaka by wybuchła sensacja, gdyby to zostało podane do publicznej wiadomości. Władze zgodziły się, że potrzebny jest im czas, żeby dokładnie przyjrzeć się faktom, pomyśleć i podebatować w spokoju. Chcą także opracować rozsądną politykę, żeby ją przedstawić wyborcom, którzy w pierwszym okresie mogą być skłonni do wpadania w histerię. - Kąciki jego ust uniosły się lekko ku górze. - A poza tym i ty, i Jimmy musicie przyjść do siebie, zanim rozpęta się nad wami dziennikarska burza. Jak on się czuje?

- Całkiem nieźle. Ciągłe domaga się, żebym mu pozwoliła pójść do Pięknego Miejsca bawić się z przyjaciółmi. Jednak, w jego wieku, wyzdrowieje... zapomni.

- Będzie mógł się z nimi spotkać później.

- Co? Nie zrobiliśmy... - Barbro poruszyła się w swym krześle. - O tym też zapomniałam.

Niewiele pamiętam z tych ostatnich kilku godzin. Przywiozłeś kogoś z porwanych ludzi?

- Nie. Szok, którego doznali, był i tak wystarczająco okrutny, bez rzucania ich prosto w... w objęcia instytucji. Pasterz Mgły, w gruncie rzeczy bardzo rozsądny chłopak, zapewnił mnie, że dadzą sobie radę, przynajmniej pod względem podstawowych potrzeb życiowych, do czasu aż wszystko zostanie odpowiednio przygotowane. - Sherrinford zawahał się. - Tylko nie bardzo wiem, co ma być przygotowane. Nikt tego nie wie, na obecnym etapie. Jednak niewątpliwie musimy zapewnić tym ludziom - lub znacznej ich części, szczególnie tym, którzy jeszcze nie są dorośli - ponowne przyłączenie do rasy ludzkiej. Mimo że w cywilizowanym świecie mogą nigdy nie czuć się jak w domu. Być może tak jest najlepiej, z pewnego punktu widzenia, gdyż w kontaktach z Mieszkańcami

będziemy potrzebowali akceptowanych przez obie strony łączników. Bezosobowość tych słów działała uspokajająco na nich oboje.

- Czy zrobiłam z siebie straszną idiotkę? Pamiętam, tak, pamiętam, jak wyłam i waliłam głową w podłogę.

- Dlaczego, wcale nie. - Przyglądał się jej przez chwilę, rozważał jej dumę, potem wstał, podszedł i położył jej dłoń na ramieniu. - Zostałaś zwabiona i wpędzona w pułapkę przez umiejętną grę na twych najgłębiej zakorzenionych instynktach, i to w chwili, która sama w sobie była czystym koszmarem. Potem, gdy ten ranny potwór doniósł cię na miejsce, najwyraźniej przyszła do ciebie jakaś inna istota, ktoś, kto mógł manipulować tobą z pomocą sił neuropsychicznych o niewielkim zasięgu. Ukoronowaniem tego wszystkiego było moje przybycie i nagłe, brutalne, przerwanie wszystkich halucynacji. To musiało być druzgocące. Nic dziwnego, że krzyczałaś z bólu. Jednak przedtem wniosłaś Jimmiego i sama weszłaś do samochodu, nie przeszkadzając mi w niczym.

- A co ty zrobiłaś?

- Oczywiście odjechałem stamtąd najszybciej, jak to było możliwe. Po kilku godzinach warunki atmosferyczne poprawiły się na tyle, że mogłem połączyć się z Portolondonem i zażądać natychmiastowego przysłania samolotu. Nie dlatego, żeby to było absolutnie niezbędne. Jakie oni mieli szansę nas zatrzymać? Nawet nie próbowali... Jednak szybki transport oczywiście się przydał.

- Wyobrażałam sobie, że właśnie tak to wszystko przebiegło. - Pochwyciła jego szybkie spojrzenie. - To znaczy, chciałam powiedzieć, jak nas tam znalazłeś, na tym pustkowiu?

Sherrinford odsunął się od niej nieco.

- Moim przewodnikiem był mój więzień. Nie sądzę, abym rzeczywiście zabił kogoś z tej grupy, która przyszła rozprawić się ze mną. Mam nadzieję, że nie. Po kilku ostrzegawczych strzałach samochód po prostu przebił się przez nich, a potem zostawił ich daleko z tyłu. To była niezupełnie czysta gra - stal i paliwo przeciwko nagiej skórze. Jednak przy wejściu do jaskini musiałem naprawdę zastrzelić kilku z tych olbrzymów. Nie jestem z tego dumny.

Stał przez chwilę w milczeniu. Potem:

- Byłaś ich więźniem - powiedział. - Nie wiedziałem, co oni z tobą robią, a ty byłaś dla mnie najważniejsza. - I po kolejnej przerwie dodał. - Nie spodziewam się już innych aktów przemocy.

- Jak ci się udało skłonić tego... chłopca... do współpracy?

Sherrinford zrobił kilka kroków, od niej ku oknu. Zatrzymał się, patrząc na Ocean Północy.

- Wyłączyłem pole ochronne - powiedział. - Pozwoliłem tej grupie podejść bardzo blisko, wraz z całą wspaniałością iluzji, w którą byli przybrani. Potem włączyłem pole z powrotem i obaj zobaczyliśmy ich tak, jak naprawdę wyglądali. Podczas drogi na północ wyjaśniłem Pasterzowi Mgły, w jaki sposób on i inni w jego rodzaju byli oszukani, wykorzystywani, zmuszani do życia w

świecie, który właściwie nigdy nie istniał. Spytałem go, czy chciałby całe życie, aż do końca, spędzić w charakterze domowego zwierzęcia. Owszem, mając trochę wolności, tyle żeby biegać po wzgórzach, lecz zawsze na koniec trafiać z powrotem do pełnej snów zagrody. - Pykał wściekle z fajki. - Niech mi już nigdy nie będzie dane oglądać takiej goryczy. Nauczono go wierzyć w to, że jest wolny.

Wróciła cisza, unosząc się nad odgłosami gorączkowego ruchu ulicznego. Gwiazda Karola Wielkiego zbliżyła się do horyzontu; na wschodzie niebo już pociemniało.

W końcu Barbro spytała:

- Czy wiesz, dlaczego?

- Dlaczego dzieci były wykradane i wychowywane w ten sposób? Częściowo dlatego, że to było zgodne z modelem życia, jaki Mieszkańcy tworzyli, ponadto chcieli obserwować przedstawicieli naszego gatunku i przeprowadzać na nich eksperymenty - na ich umysłach, nie ciałach. A również dlatego, że ludzie są wyposażeni w specjalne pożyteczne zdolności, na przykład potrafią znosić światło pełni dnia.

- Ale jaki był ostateczny cel tego wszystkiego? Sherrinford przechadzał się tam i z powrotem.

- No cóż - powiedział - oczywiście najważniejsze, nadrzędne motywy aborygenów pozostają nie wyjaśnione. Możemy zaledwie zgadywać, w jaki sposób oni rozumują, nie wspominając nawet o tym, jak czują. Jednak nasze teorie zdają się zgadzać z faktami.

Dlaczego się ukrywali przed człowiekiem? Podejrzewam, że oni, a raczej ich przodkowie -

gdyż nie są to, jak wiesz, rozsiewające blask elfy - są śmiertelni i omylni, jak my. A więc podejrzewam, że z początku tubylcy byli tylko ostrożni, ostrożniejsi nawet niż prymitywni ludzie na Ziemi, którzy równie niechętnie zdradzali swą obecność przed obcymi. Szpiegując, podsłuchując myśli. Mieszkańcy Rolanda nauczyli się naszego języka na tyle, żeby z grubsza pojąć, jak bardzo człowiek jest od nich różny i jak jest potężny. Zrozumieli również, że przybędzie więcej statków i nowi osadnicy. Nie przyszło im do głowy, że moglibyśmy im przyznać pełne prawo do zachowania swych ziem. Być może ciągle przywiązują znacznie większą wagę do podziałów terytorialnych niż my. Zdecydowali się walczyć na swój własny sposób. Przypuszczam, że gdy wreszcie zaczniemy bliżej przyglądać się ich mentalności, nasza psychologia przejdzie swój przewrót kopernikański.

Zapłonął w nim entuzjazm.

- I nie będzie to jedyna rzecz, jakiej się nauczymy - kontynuował. - Oni muszą mieć swoją własną naukę, nieczłowieczą, powstałą w świecie, który nie jest Ziemią. Muszą, dlatego że przeprowadzili obserwacje naszej rasy równie starannie i dokładnie jak my sami. Dlatego, że opracowali skierowany przeciw nam plan, którego wykonanie zajęłoby jeszcze sto albo i więcej lat.

Co jeszcze oni umieją? W jaki sposób bez widocznego rolnictwa czy naziemnych budynków, bez kopalni lub w ogóle czegokolwiek utrzymują swoją cywilizację przy życiu? W jaki sposób powołują

do życia całe nowe gatunki inteligentnych istot? Milion pytań, dziesięć milionów odpowiedzi!

- Czy potrafimy się od nich uczyć? - spytała Barbro cicho. - A może będziemy tylko umieli ich zgnieść i zniszczyć, jak się tego boją?

Sherrinford zatrzymał się, oparł łokieć o gzyms nad kominkiem, nabił fajkę i powiedział:

- Mam nadzieję, że okażemy więcej miłosierdzia, niż zwykle okazuje się pokonanemu wrogowi. Oni przecież są pokonanym wrogiem. Próbowali nami zawładnąć i im się nie udało. A teraz my, w pewnym sensie, dążymy do zawładnięcia nimi, gdyż będą zmuszeni do zawarcia pokoju z cywilizacją maszyn, zamiast, co było ich celem, przyglądać się, jak ona rdzewieje. A jednak nigdy nie wyrządzili nam krzywd tak okrutnych, jakie my sami sobie wzajemnie wyrządzaliśmy w przeszłości. Powtarzam raz jeszcze: oni mogliby nas nauczyć wspaniałych rzeczy. My również moglibyśmy im przekazać naszą wiedzę, gdyby nauczyli się być bardziej tolerancyjni wobec innego stylu życia.

- Myślę, że możemy wydzielić im rezerwat - powiedziała Barbro i nie wiedziała, dlaczego on się tak skrzywił i dlaczego odpowiedział tak szorstko.

- Zostawmy im godność, na którą sobie zasłużyli! Walczyli, aby uchronić świat, który zawsze znali, od tego... - wyciągnął rękę w stronę miasta - i prawdopodobnie lepiej byłoby dla nas samych, gdybyśmy mieli tego mniej.

Oklapł nieco, westchnął.

- Przypuszczam jednak, że gdyby ta Kraina Elfów zwyciężyła, ludzie na Rolandzie powoli, może nawet szczęśliwie, ale w końcu by wymarli. Żyjemy ze swymi archetypami, ale czy potrafilibyśmy żyć w nich?

Barbro potrząsnęła głową.

- Przepraszam, ale nie rozumiem.

- Słucham? - spojrział na nią z zaskoczeniem, które usunęło w cień melancholię sprzed chwili.

Zaśmiał się, a potem: - Cóż za głupiec ze mnie - powiedział. - W ciągu ostatnich dni wyjaśniałem to tyle razy różnym politykom i naukowcom, i członkom komisji, i Bóg wie jeszcze komu, że zapomniałem, iż nigdy nie wyjaśniałem tobie. Wtedy gdy podróżowaliśmy, to był tylko pomysł, dość zresztą mglisty. Ale teraz, po spotkaniu z Zewnętrznymi i zobaczeniu, jak oni działają, zyskałem pewność.

Mocniej ubił tytoń w fajce.

- W ciągu całego zawodowego życia - powiedział - korzystałem w pewnym stopniu z pierwowzoru. Racjonalny detektyw. Nie była to świadomie przyjęta poza, zwykle był to po prostu obraz, który pasował do mojej osobowości i stylu pracy. Jednak wywoływał on i wywołuje u większości ludzi odpowiedni rezonans, bez względu na to, czy słyszeli o oryginale czy nie. To zjawisko nie jest rzadkością. Spotykamy ludzi, którzy przywodzą na myśl Chrystusa lub Buddę, lub Matkę Ziemię, czy,

ze sfer mniej wzniosłych, Hamleta lub d'Artagnana. W tych postaciach -

historycznych, mitycznych czy fikcyjnych - krystalizują się podstawowe cechy ludzkiej psychiki i kiedy kogoś takiego spotykamy w naszym rzeczywistym świecie, nasze reakcje rodzą się głębiej niż tylko w świadomości.

Człowiek tworzy również archetypy, które nie są osobami, takie jak Anima czy Cień, a tutaj -

jak się zdaje - Pozaświat. Kraina magii i uroków - w pierwszym, magicznym znaczeniu tego słowa -

zamieszkała przez na wpół ludzkie istoty, niektóre jak Ariel. inne jak Kaliban, jednak wszystkie wolne od przypisanych śmiertelnikom słabości i smutków - przez co może trochę beztrosko okrutne, bardziej niż trochę skłonne do psot. Mieszkańcy zmierzchu i księżycowego światła, niezupełnie bogowie, ale posłuszni rozkazom władców dostatecznie potężnych i enigmatycznych, żeby być bogami... O tak, nasza Królowa Powietrza i Mroku dobrze wiedziała, jakie obrazy pozwolić widzieć samotnym ludziom, jakie od czasu do czasu wokół nich budować iluzje, jakie pieśni i legendy puszczać między nich w obieg. Zastanawiam się, ile ona i jej poddani wzięli z ludzkich baśni, ile jest ich własnym dziełem, a ile stworzyli tutejsi ludzie, zupełnie od nowa, zupełnie bezwolnie, gdy zamieszkała w nich świadomość tego, że żyją na krańcu świata.

Wzdłuż pokoju kładły się cienie. Wyraźnie się ochłodziło, przycichły nieco fale dobiegającego z ulic hałasu. Barbro spytała stłumionym głosem:

- I do czego to mogło prowadzić?

- Pod wieloma względami - odpowiedział Sherrinford - tutejszy pionier rzeczywiście żyje w średniowieczu. Ma niewielu sąsiadów, niewiele do niego dociera wiadomości z szerokiego świata, mozoli się, żeby przetrwać na ziemiach, które tylko częściowo rozumie, ziemiach, które każdej nocy mogą zesłać na niego nie dające się przewidzieć katastrofy, i jest zewsząd otoczony ogromnymi obszarami pełnej dziczy. Ta cywilizacja techniczna, która przyniosła tutaj jego przodków, dla niego samego jest co najmniej mglista i odległa. Może zagubić jej spuściznę, tak jak średniowiecze zagubiło spuściznę starożytnej Grecji i Rzymu i, jak się wydaje, tak jak zgubiła ją cała Ziemia.

Pozwólmy, aby archetypowy Pozaświat popracował nad nim, długo, intensywnie, zrećnie, a w końcu zacznie w głębi duszy wierzyć, że magiczna moc Królowej Powietrza i Mroku jest potężniejsza od energii maszyn, i najpierw jego wiara, a potem również jego czyny poddadzą się jej rozkazom. Och nie, to by nie nastąpiło szybko. Najlepiej, aby ten proces był zbyt powolny, by mógł

być zauważony przez zadowolonych z siebie ludzi z miast. A gdy w końcu rolnicze zaplecze, już całkowicie opanowane pierwotnymi zabobonami, cofnięte do średniowiecza, odwróciłoby się od miast, jak mogłyby one przetrwać?

Barbro odetchnęła głęboko.

- Powiedziała mi, że gdy ich flagi załopoczą nad ostatnim z ludzkich miast, wszyscy się będziemy radować.

- Myślę, że tak by rzeczywiście było, do tego czasu - przytaknął Sherrinford. - Pomimo tego wierzę w prawo do wolnego wyboru własnego losu.

Wstrząsnął się, jakby zrzucając jakiś ciężar. Wystukał z fajki resztki spopielałego tytoniu, potem przeciągnął się, dokładnie, mięsień po mięśniu.

- No, ale na szczęście nie poznamy tej radości - powiedział. Spojrzała wprost na niego.

- Dzięki tobie.

Zaczerwienił się aż po końce uszu.

- Jestem pewien, że z czasem ktoś inny by... Liczy się tylko to, co teraz zrobimy, a ta decyzja jest zbyt poważna, aby mogła być podjęta przez jednego człowieka czy nawet przez jedno pokolenie.

Wstała.

- Chyba że jest to decyzja osobista, Eryku - podpowiedziała, czując, jak płoną jej policzki.

Ciekawie było obserwować jego onieśmienie.

- Miałem nadzieję, że może... spotkamy się jeszcze.

- Oczywiście!

Ayoch siedział na Kurhanie Wolunda. Zorza drżała taką jasnością, tak wielkimi płatami światła, jakby chciała ukryć blednące, znikające księżycy. Kwiaty cierniowców już opadły, zaledwie kilka płomieniło się wśród korzeni, między wyschniętym brokiem, trzeszczącym pod stopami i pachnącym jak dym z ogniska. Powietrze było ciągle ciepłe, jednak z zachodniego horyzontu zniknęła już ostatnia poświata.

- Żegnajcie, szczęśliwej wędrówki! - zawołał puk.

Pasterz Mgły i Cień Snu nie obejrzelik się. Wydawać by się mogło, że zabrakło im odwagi.

Szli ciężkim krokiem, znikając już z oczu, ku obozowi ludzi, którego światła tworzyły na południu nową jaskrawą gwiazdę.

Ayoch zwlekał. Czuł, że powinien ofiarować pożegnanie tej, która niedawno dołączyła do cieni śpiących w tym kurhanie. Już pewnie nikt tu nie będzie przychodził, by się kochać lub szeptać magiczne zaklęcia. Pamięć podsuwała mu tylko jedną starą strofę, która pasowała do chwili. Wstał i cicho zaśpiewał:

Spomiędzy jej piersi

kwiat wzniosł się do słońca.

Spaliło go lato.

Pieśń dobiegła końca.

Potem rozpostarł skrzydła do długiego, dalekiego lotu.